Nr. 3 (1151). Warszawa, 4 (17) Stycznia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

SAGASTA I HISZPANIA.

Dnia 5 b. m. umarł w Madrycie Praxedes Mateo Sagasta. Był on jednym z dwóch ludzi niezbędnych, którymi posługiwała się naprzemian regencya, sprawująca rządy za Alfonsa XIII. Obaj już nie żyją; jeszcze w sierpniu 1897 roku nóż sprzątnął Canovasa del Castillo. Sagasta po jego śmierci zmieniał się z Silvelą, nowo wzeszłą, łagodnie-zachowawczą gwiazdką; właśnie śmierć zaskoczyła go po za obrębem władzy państwowej. Umarł w sędziwym już wieku (76 lat); Hiszpania też nie traci w nim już siły żywej na dziś, utraciła tylko osobistość wybitną w przeszłości. Początek jej sięga rewolucyi wrześniowej 1868 r. Zbliżenie się do Prima wepchnęło Sagastę na tory rządowe w krótkotrwałej rzeczypospolitej. Odrazu został ministrem spraw wewnętrznych. Był potem dwa razy jeszcze prezesem gabinetu i dopiero po ogłoszeniu Alfonsa XII królem, zeszedł z estrady ministeryalnej. Osierocenie tronu w r. 1885 uczyniło Sagastę odrazu człowiekiem niezbędnym dla regencyi. Ostatni raz przewodnictwo w rządzie objął w czerwcu 1899 r., zdał je Silveli w listopadzie 1902 r.

Sagasta na politycznej giełdzie europejskiej notowany był między walorami jako „liberalny"— trzeba dodać zaraz: Hiszpan, aby pod wyraz podsunąć właściwą wartość. Zresztą w Europie całej liberalizm spodlał i podleje coraz bardziej. Z pięknego, trzymającego próbę talara, jakim był między 1820—30 rokiem, stał się fałszywą monetą Tynfa lub Boratiniego, a za dni jeszcze naszych liberalizm niemiecki daje rażący takiego upadku przykład. Nie uniknęła tego losu, niosącego spodlenie i niemoc, i wiara polityczna Sagasty. I na nim również jak na innych wybitniejszych przedstawicielach liberalizmu w Europie, okazała się cała czczość zasady, która, w genezie swojej będąc koniecznym współczynnikiem konstytucyonalizmu monarchicznego, wraz z nim samym wyjałowieć musiała. Na czas obecny już te dawne hasła, dawne wiary i przekonania nie wystarczają; dziś, chcąc być rzetelnie liberalnym, trzeba być też rzetelnym demokratą, w rozumie swoim mieć wolność, prawo i porządek dla wszystkich, a myślą obejmować nietylko państwo, ale i społeczeństwo. Sagasta był liberałem gabinetowym, nie lepszym i nie gorszym od innych, a że nad innych się wzbił, zawdzięcza to specyalnemu uzdolnieniu politycznemu i jak jest wszędzie i zawsze — przypadkowi.

Nazwisko Sagasty przylgnęło do wielkiego nieszczęścia Hiszpanii. Za jego rządów wybuchła w kwietniu 1898 r. wojna ze Stanami Zjednoczonemi o Kubę; za jego rządów zakończyła się traktatem pokoju (d. 10 grudnia t. r. w Paryżu) stratą Kuby, Puerto-Rico i Filipin. Za wojnę i jej klęski nikt nie zwala na niego odpowiedzialności, bo on przyszedł nanowo do steru już wtedy, gdy Stany Zjednoczone natarczywie pchały Hiszpanię do wojny, a jego właśnie dodatnim czynem, który ją mógł odwrócić, było obdarzenie Kuby tą samą konstytucyą z 30 czerwca 1876 r., z której korzystała Hiszpania, oraz zapewnienie wyspie pod konstytucyjnemi rządami własnej indywidualności politycznej, dla której król, gubernator i żołnierz hiszpański stanowić mieli jedyne łączniki zależności od kraju macierzystego. Było już zapóźno. Srogość Weylera na Kubie, a pycha próżniaczych, więcej do politykowania i *pronunciamentów* niż do boju gotowych generałów udaremniły już przed wejściem Sagasty do rządu (wrzesień 1897) najlepsze nawet chęci, najpoważniejsze zrozumienie całej grozy położenia, w jakie wtrącił Hiszpanię nieopatrzny opór przeciw żądaniom Kubańczyków. Nie jest też winą Sagasty odstąpienie Filipin, którego na konferencyach paryskich nagle zażądały Stany Zjednoczone. Flota Hiszpanii wtedy już nie istniała, stronnictwo generalskie nie było bynajmniej stronnictwem wojennem, naród nie zajął się płomieniem żalu przed stratą; Europa milczała na łupiestwo. Jeżeli był winny, to była nim pośredniczka w pokoju — Francya. Jej honor powinien był poręczyć zamknięcie ściśle traktatu ostatecznego w granicach preliminaryów z d. 12 sierpnia 1898 r.

Krzyk o Filipiny zwalił Sagastę już w marcu 1899 r. Zastąpił go nowy człowiek — ów Silvela. Za jego już rządów królowa - regentka podpisała dopiero ratifikacyę traktatu grudniowego. Nastał czas na reformy, które sam pogrom narzucał; zmarnowanie go jest winą, nie Sagasty, ale zachowawców, w obu odmianach, tęższej i słabszej, którzy wraz z Silvelą zajęli kapitał nieszczęśliwego państwa i nieszczęśliwszego jeszcze narodu. Wszystkie oczekiwania i nadzieje, jakie pokładano na zdrowym instykcie zachowawczym, na rozsądku politycznym, na cnocie wreszcie obywatelskiej i miłości ojczyzny — doznały srogiego zawodu. W Hiszpanii nie zmieniło się nic, nawet w urządzeniach państwowych, nawet w budżecie. Nie było nikogo, coby chłostę dziejową zrozumiał i spożytkował dla narodu. Nikt nie ujął za pług orzący ten naród, aby wydobyć na wierzch skiby rodzajne. Siedemdziesięcioletni Sagasta,

poza rządem już stojący, ze swym liberalizmem, bez duszy demokratycznej — mógł być już tylko cieniem. Nie miała Hiszpania; nie ma dotychczas człowieka, któryby nietylko urzędniczo rządzić, ale i genialnie przetwarzać ją umiał. Przedewszystkiem na niej stwierdza się bezzasadność kołacącego się po postępowych głowach przywidzenia, jakoby niczem w dziejach była jednostka, gdyż wszystkiem jest wielość, lud czy tłum. Bez t. zw. wielkich ludzi życie dziejowe zamiera, a sam nawet lud czy tłum, bez wybitnych, wzbijających się nad jego poziom jednostek — traci nawet znaczenie masy, co cięży, i siły, co gruchoce.

ROOSEVELT.

Następca Mc Kinleya na urzędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych tak niespodzianie wskutek tragedyi buffalowskiej zajął obecne swe stanowisko, że zaciekawiona uwaga całego świata, nie może oczu od niego odwrócić. Sami Amerykanie wciąż jeszcze usiłują zdać sobie jasno sprawę z charakteru i wartości swego nowego prezydenta. Najwybitniejszy miesięcznik północno-amerykański, *North American Review* pomieścił dwa niezmiernie interesujące artykuły, gdzie dwa odmienne kierunki zabierają głos w tym względzie.

W jednym przemawia tak zwany postępowy republikanin, w drugim jeffersoński demokrata. Nie będziemy określać różnicy pomiędzy jednym a drugim, streścimy tylko zapatrywania obu, co nam pozwoli zrozumieć stanowisko, jakie zajmują wobec nowego prezydenta najsympatyczniejsze partye polityczne w Stanach Zjednoczonych.

Nic nie jest bardziej obcego charaktero-Roosevelta, powiada republikanim postępowy, nad wodnistość i niewyraźność. Nie ma też on zwyczaju omijać trudności tak w mowie, jak w czynie. Jeśli cokolwiek lub ktokolwiek staje mu na drodze do spełnienia obowiązku, energicznie stara się to usunąć. Tryb jego jest rozkazujący, a czas słów, zarówno jak czynów, wybitnie teraźniejszy.

Obowiązki prezydenta w czasie pokoju są dwojakie: wykonywać prawa, postanowione w przeszłości, i poddawać pod rozwagę Kongresu takie projekty do praw, jakie uważa za potrzebne na przyszłość. Do tych dwóch obowiązków Roosevelt dodał jeszcze trzeci a mianowicie: informowanie opinii publicznej o chwili obecnej.

Obejmując swój urząd nie znał działu prawodawczego tak dobrze, jak jego poprzednik, a sądownictwo dla jego umysłu, przejętego zasadami sprawiedliwości i niezwracającego uwagi na precedensy, zawierało wiele zagadek; za to tajemnice władzy wykonawczej posiadał w całości i we wszystkich szczegółach. Sprawy marynarki nie były mu obce i nie brakło mu też doświadczenia w tem, co dotyczy armii; całą służbę cywilną znał od dołu do góry; jako urzędnik stanowy oryentował się doskonale w stosunkach federalnych i stanowych, był więc należycie przygotowany, do objęcia trudnego i odpowiedzialnego urzędu prezydenta. Świadom wszystkich krępujących go, jako urzędnika formułek, ma jednak tę zaletę, że często, pozwala sobie je przekraczać i postępować według własnego uznania; a zawsze w dobrej myśli i z dobrym skutkiem.

W rozdawaniu pensyj, a raczej emerytur, nie powoduje się zgoła względami partyjnymi i pod pozorem nagradzania patryotyzmu nie forytuje swych stronników: we wszystkiem kieruje się sprawiedliwością i zasługą. Zdawałoby się, że to rzecz tak zwyczajna, iż nie zasługuje na wzmiankę, a tymczasem do tej pory duch partyjności tak bardzo panoszył się w polityce Stanów Zjednoczonych, że o sprawiedliwości nikt nie myślał. Roosevelt położył temu koniec. Przez stałe popieranie ludzi zdolnych bez względu na to do jakiej partyi należą, przez mianowanie urzędników uczciwych i na danem stanowiska odpowiednich nowy prezydent przyczynił się znacznie do zmniejszenia korupcyi, wybujałej w Stanach zjednoczonych do niezwykłych rozmiarów.

Z natury niezmiernie samodzielny, choć słucha rad różnych przywódców politycznych, przyjmuje jednak te tylko, które mu osobiście odpowiadają. Rządzić sobą nie pozwala nikomu.

Taką charakterystykę prezydenta Roosevelta daje nam postępowy republikanin; a teraz posłuchajmy krytyki jego działalności przez demokratę jeffersońskiego.

Autor zaczyna od sprawy wzajemności pomiędzy Stanami a Kubą. Główne bogactwo tej wyspy stanowi kultura buraków cukrowych. Obecnie cło na nie jest tak wysokie, że Kubańczycy o wywozie tego produktu myśleć nawet nie mogą, a ponieważ przemysłowi Stanów przyznali ogromne korzyści, przeto na zasadzie wzajemności należy się im zmniejszenie cła od buraków w tym stopniu, by mogli ekonomicznie się rozwinąć i skorzystać z tych wolności, jakie sobie przy pomocy Stanów wywalczyli. Otóż Roosevelt, wierny swej zasadzie sprawiedliwości i uczciwości, domaga się zmniejszenia ceł protekcyjnych od buraków cukrowych, i sprawa, dzięki jego poparciu, zdaje się być już tylko kwestyą czasu.

Prócz tego demokrata jeffersoński chwali Roosevelta za nieugięte obstawanie przy doktrynie Monroego i bardzo dyplomatyczne a zręczne zbliżenie się do Anglii, bez wzbudzenia zazdrości innych morskich potęg europejskich. Dotąd pochwały.

Teraz zaczyna się krytyka tak charakterystyczna, że nieco obszerniej o niej powiedzieć trzeba. Prezydent Roosevelt zajął bardzo jasne i określone stanowisko względem wielkich kwestyj ekonomicznych, a mianowicie: taryfy, trustów i walki pracy z kapitałem.

W sprawie taryfy Roosevelt zdaje się być umiarkowanym, rozumnym protekcyonistą, to znaczy, że sprzyja protegowaniu tak zwanych niemowlęcych gałęzi przemysłu w walce z obcą konkurencyą na rynkach Stanów Zjednoczonych. Nie uważa zaś za potrzebne otaczać opieką tego przemysłu, który, rozwinięty olbrzymio, może doskonale ostać się wobec współzawodników europejskich. Rzecz jasna, jak słońce, że jako człowiek sprawiedliwy nie sprzyja temu, aby konsument amerykański płacił za dany towar drożej od konsumenta europejskiego, co właśnie ma miejsce przy dzisiejszych nierozumnych cłach protekcyjnych. Oczywiście, to stanowisko prezydenta Roosevelta zyskuje uznanie demokraty, który z zasady ekonomiczno-politycznej jest przeciwnikiem wszelkich ceł protekcyjnych.

Prezydent Roosevelt nie jest też zwolennikiem trustów. Raz w mowie publicznej powiedział, może nieco nieopatrznie, że najlepszem lekarstwem na trusty byłaby poprawka konstytucyjna, która dawałaby rządowi związkowemu prawo kontrolowania kapitału wewnątrz każdego stanu z osobna. Otóż, pominąwszy praktyczną niemożliwość przeprowadzenia takiej poprawki, której stany, zazdrosne o swą autonomię, nie przyjęłyby nigdy, demokrata jeffersoński protestuje z zasady przeciw podobnym zakusom centralistycznym, obcym duchowi samorządu, stanowiącego rdzeń wielkiej konstytucyi amerykańskiej.

LAFCADIO HEARN.

ŻYWY BÓG.

(Dokończenie).

Istocie Hamaguchi nie potrzebował czekać zbyt długo na przybycie pierwszej pomocy, złożonej z gromadki młodych, zwinnych wieśniaków, pragnących zabrać się do gaszenia ognia niezwłocznie. Lecz Choja wstrzymał ich ruchem ramion.

„Niech się pali, chłopcy!“—rozkazał — niech się pali! Chcę mieć tutaj całą *mura*. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. — *Taihenda*!“

Cała wieś gromadziła się, a Hamaguchi tylko liczył przybyłych. Wszyscy młodsi mężczyźni i chłopcy byli na miejscu, tuż za nimi nadbiegły kobiety i dziewczęta; potem nadeszła znaczna część starszyzny, i matki z niemowlętami na plecach, a nawet dzieci. Ci, ze starych, którzy nie mogli nadążyć za młodszymi, wdzierali się już na pochyłość i znajdowali dosyć wysoko. Wzrastający tłum jeszcze ciągle był nieświadom rzeczywistego stanu rzeczy i patrzył z bolesnem zdumieniem to na płonące pole, to na spokojną twarz Choja. A słońce tymczasem już zaszło.

„Dziadek oszalał — boję się o niego!— odpowiadał Tada z łkaniem na liczne pytania. „Oszalał. Rozmyślnie podpalił stogi z ryżem; widziałem, jak to robił!“

„Co się tyczy ryżu—wołał Hamaguchi— to dziecko mówi prawdę. Istotnie sam podpaliłem ryż.... Czy wszyscy już się tutaj zgromadzili?“

Kumichowie i głowy rodziny obejrzeli się dokoła, spojrzeli w dół i odparli: „Wszyscy są już na miejscu, albo znajdą się niebawem.... Ale trudno nam zrozumieć.“

„*Kita*!—zawołał starzec jak mógł najgłośniej, wskazując przed siebie!—Teraz powiedzcie, że jestem obłąkańcem!“

Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku wschodowi, gdzie widać było na skraju, zmierzchem osłoniętego, widnokręgu, długą i ciemną linię podobną do zarysów brzegu w miejscu, gdzie nigdy brzegu nie było. Linia ta grubiała w oczach z nadzwyczajną szybkością, rozszerzała się tak, jak się rozszerza linia rzeczywistego widnokręgu w oczach tego, co się zbliża do brzegu morskiego. Ta długa, ciemna linia to było powracające morze, piętrzące się jak skała, i pomykające szybciej od kani.

„*Tsunami*!“— Zapiszczał lud zgromadzony. W tejże chwili wszystkie piski, dźwięki, zarówno jak zdolność ich słyszenia zostały stłumione przez jakieś niedające się określić wstrząśnienie, potężniejsze od piorunów: olbrzymia fala zwaliła się na brzeg z siłą, która w drżenie wprawiła wszystkie pagórki, z całem morzem wprost oślepiającej piany. Przez chwilę nic nie było widać prócz masy rozpylonej wody, posuwającej się w górę po pochyłości na podobieństwo chmury. Wieśniacy przerażeni cofali się wstecz przed groźnem zjawiskiem. Gdy spojrzeli po raz drugi, ujrzeli spienione morze, szalejące nad ich domostwami. W chwilę potem cofnęło się, rozdzierając w swej powrotnej drodze wnętrzności zalewanej ziemi. Dwakroć, trzykroć, pięćkroć szło tak do ataku i cofało się za każdym razem z mniejszą zaciekłością; potem wróciło do pierwotnego łoża i tam już pozostało, szalejąc, jakby po cyklonie.

Wśród zgromadzonych na płaszczyźnie

Na szczęście jest inny, zupełnie konstytucyjny środek opanowania trustów, a mianowicie rząd związkowy ma prawo ustanawiać taryfę celną, regulować stosunki handlowe pomiędzy poszczególnymi stanami, nakładać podatki. Środki te wystarczyłyby niezawodnie do poskromienia trustów i do nich też Roosevelt postanowił uciec się ostatecznie. Za to demokrata jeffersoński udziela mu pochwały z zastrzeżeniem: czy walka z trustami jest wogóle rzeczą potrzebną, autor ma na tym punkcie pewną wątpliwość, a to dlatego, że uważa trusty za konieczną formę ekonomiczną dzisiejszych czasów, a przeto walkę z nimi za rzecz szkodliwą.

Z najwyższą naganą i oburzeniem mówi on o wmieszaniu się Roosevelta do strajku węglowego. Tutaj niema nawet śladu konstytucyjnego usprawiedliwienia dla prezydenta, który stanowczo przekroczył zakres swego działania, jako najwyższy urzędnik Związku, bo jako taki nie ma prawa mieszać się do spraw stanu, a tem bardziej występować w charakterze rozjemcy i wywierać nacisk na strony zwaśnione. Oburzenie demokraty niema granic po pierwsze dlatego, że Roosevelt naruszył konstytucyę, postąpił bez jej upoważnienia, po drugie dlatego, że przez ten krok zyskał popularność, która może być pierwszym stopniem do cezaryzmu i autokracyi. Popularność zaś Roosevelt tem sobie zdobył, że w sprawie strajku stanął przedewszystkiem po stronie poszkodowanych konsumentów, liczących się na miliony. *w. s.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Anglia, Niemcy i Włochy nie przestają blokować Wenezueli, narażając ją na straty bez własnej korzyści, a nawet z własną szkodą. Hersztowie rokoszu obiecują bezzwłoczne ustanie kroków nieprzyjacielskich, skoro tylko zwyciężą Castra: najlepszy dowód, jeśli nie rzeczywistej zmowy, to najrzeczywistszej nikczemności. Wojska rządowe odniosły jedno zwycięztwo pod La Guatira, ale po niem już miały doznać klęski. Obie strony kłamią; trudno rozpoznać prawdę. Sąd polubowny o tyle już się zbliża, iż Bowen, poseł amerykański, wyjechał do Waszyngtonu, gdzie wraz z nim, jako pełnomocnikiem Wenezueli, ułożą zasady polubowności przedstawiciele dwu państw głównie działających. Blokada ustanie dopiero po formalnem odwołaniu się do Hagi. Anglicy nie żądają bezzwłocznego zaliczenia; Niemcy mają się go zrzec; jedni i drudzy uszczkną cośkolwiek z zajętych komór. Rząd Stanów Zjednoczonych nie chce poręczać wypłaty z wyroku. *Times* donosi, że sekretarz Hay obu mocarstwom wyłożył potrzebę rychłego zakończenia blokady, rujnującej handel i mienie państwowe rzeczypospolitej a szkodzącej interesom Stanów Zjednoczonych.

D. 13 b. m. Bülow zagaił sejm pruski — zagaił niewesoło. Rok 1901 dał 37 i $^1/_2$ mil. marek niedoboru, r. 1902 nie okaże się lepszym. Mimo to na rok bieżący rząd zwala wydatki potrzebne dla idealnych celów państwa—gnębienia żywiołu polskiego „w prowincyach wschodnich.“ Trzeba urzędnikom tamtejszym popodwyższać pensye, a niewolno zaniedbywać „obrony niemczyzny“ dla braku funduszów. Rząd myśli też o niezbędnych nakładach na koleje.

Według *Posener Ztng.* urzędnicy Niemcy w W. Ks. Poznańskiem mają otrzymać 10% do pensyi; nauczyciele ludowi — dodatek 200 marek.

Ugodę czesko-niemiecką spotkało już oświadczenie Czechów, że na podstawie projektu rządowego dalsze rozprawy są niemożliwe. Ten projekt do dziś dnia jest tajemnicą; przeświecają z niego tylko owe obwody projektu niemieckiego, rozszarpujące Czechy na działki niemieckie i czeskie. Wybrano podkomisye, i kazano im opracować podstawy do rozpraw. W kołach rządowych mają otuchę, że Czesi na czas rokowań wstrzymają groźbę „obstrukcyi“ w Radzie państwa. Konferencye podzielono na 2 sekcye: Czech i Moraw.

D. 6 b. m. nowy poseł niemiecki, Wedel, złożył cesarzowi listy uwierzytelniające; dawny, Eulenburg, zanadto jawnie trzymał z Borusami Austryi, popierał „Schulverein“ wielkoniemiecki i przywtarzał krzykowi „Los von Rom.“

Z Marokka jak najsprzeczniejsze wiadomości: to sułtan drży i w Fezie gotuje się do obrony lub ucieka, to znowu wysyła najspokojniej dywizyę przeciw buntownikom, których szeregi coraz bardziej się przerzedzają. Hiszpania rwie się do działania. Anglia i Włochy ją powściągają.

Izba poselska we Francyi obrała na swego prezesa ponownie Bourgeois, na wiceprezesów: Lockroy, Etienne, Guillan i socyalistę Jaurès'a.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Poseł Głąbiński, znany jako „uczony wschodnio - galicyjski,“ od czasu swej mowy przeciwko Rusinom, wydał świeżo broszurę polityczną p. t. „Idea samodzielności a finanse Galicyi.“ Jest to nowy przyczynek do sprawy „wyodrębnienia Galicyi,“ wprowadzonej od lat paru na porządek dzienny przez p. Władysława Studnickiego. Prof. Głąbiński zebrał skrzętnie i zestawił daty statystyki urzędowej z lat 1896—1900, odnoszące się do siły podatkowej Galicyi i jej udziału w budżecie austryackim. Z tych danych prof. Głąbiński wysnuł wniosek, że rząd austryacki wywozi z Galicyi przeszło 50,000,000 rocznie. Fakt, że Galicya bynajmniej nie jest bierną budżetowo i że wnosi ona do skarbu centralnego państwa daleko więcej, aniżeli z niego bierze, nie jest żadnem odkryciem. Albowiem już przed kilkunastu laty *Reforma* krakowska wykazała to na podstawie tych samych danych, nie wyciągając tylko takich wskazań polityki praktycznej, jakie wysnuwa prof. Głąbiński.

Ten ostatni zastanawia się nad kwestyą, czy wobec czynnego stanu finansów Galicyi nie byłoby dla niej rzeczą najkorzystniejszą, gdyby ją wyodrębniono od Austryi i stosunek jej do państwa oparto na takiej samej lub podobnej podstawie, na jakiej ukształtowano dualizm austryacko-węgierski? Ponieważ według dowodzeń prof. Głąbińskiego, rząd wywozi z Galicyi rocznie 50 milionów, a udział wyodrębnionej Galicyi we wspólnych wydatkach państwowych nie wynosiłby więcej nad 25 milionów, przeto mogłaby ona rozporządzać drugą połową tej sumy na własne cele kulturalne. Otóż prof. Głąbiński sądzi, że obecnie *sejm* lwowski ma obowiązek podniesienia głosu poważnego w sprawie wyodrębnienia Galicyi.

Sejm lwowski — to znaczy poprostu jego większość, czyli inaczej *konserwatyści.* I istotnie prof. Głąbiński, tak samo jak i inicyator całej akcyi za wyodrębnieniem, p. W. Studnicki, zwracają się do konserwatystów. Rozumieją oni bowiem doskonale, że cała sprawa „wyodrębnienia“ będzie

---

przez czas jakiś nie padło ani jedno słowo. Wszyscy patrzyli oniemiali na spustoszenie, dokonane u ich stóp, — na przerażające skały i poszarpane rafy, na przyniesione przez morze resztki rozbitych okrętów, bujające ponad miejscami, w których tak niedawno jeszcze wznosiły się ich domy i świątynia. Wsi nie było wcale: większa część pól zniknęła; nawet tarasy przestały istnieć; ze wszystkich domostw, wznoszących się dookoła zatoki, nic nie zostało prócz dwóch strzech słomianych na pełnem morzu, miotanych przez wzburzone fale. Trwoga wobec śmierci, której uniknęli, jakieś ogłupienie z powodu strat, przez całą gminę poniesionych, zamknęły wszystkim usta. Milczenie przerwało delikatne odezwanie się Hamaguchiego:

„Oto powód, dla którego podpaliłem ryż“.

On, ich Choja, stał wśród nich obecnie tak samo niemal biedny, jak najbiedniejszy z pośród nich; bogactwo jego przepadło, ale uratował życie czterystu ludziom. Mały Tada podbiegł ku niemu, schwycił go za rękę i prosił o przebaczenie za to, że mówił takie niedorzeczności. Wtedy dopiero wszyscy zrozumieli, komu zawdzięczają życie i zaczęli podziwiać prostą, niesamolubną przezorność, która ich ocaliła. Przełożony gminy padł w proch przed Hamaguchi Goheiem, a za jego przykładem poszedł cały lud wiejski.

Wtedy staruszek rozpłakał się, w części dlatego, że czuł się szczęśliwy, a w części dlatego, że był wiekowym, słabym i wystawionym na ciężką próbę.

„Dom mój pozostał—rzekł uspokoiwszy się nieco, głaszcząc odruchowo ogorzałą twarzyczkę Tady; — znajdzie się pomieszczenie dla wielu. I świątynia na wzgórzu też cała, a tam znajdzie się schronienie dla innych.“

Po tych słowach zaprowadził wszystkich do swego domu, a lud wydawał okrzyki radości.

Epoka klęski trwała długo, ponieważ w owych czasach nie istniały środki szybkiej komunikacyi pomiędzy jednym okręgiem a drugim; potrzebne wsparcie trzeba było sprowadzać z daleka. Ale gdy nastały lepsze czasy, ludzie nie zapomnieli, co byli winni Hamaguchi Goheiowi. Nie mogli uczynić go bogatym—bo by się na to nie zgodził, choćby to było możliwe. Zresztą podarunki nie mogły dowieść mu w sposób należyty, jak bardzo go szanowali, sądzili bowiem powszechnie, że duch, zamieszkujący go, jest boskim. To też w przekonaniu, że nie mogli go bardziej zaszczycić, obwołali go bogiem i nazywali „Dajmyojin“. Kiedy zaś odbudowali wieś, wznieśli świątynię dla jego ducha, na czele której umieścili tablicę z jego nazwiskiem, wypisanem chińskiemi literami w złocie. W tej kaplicy oddawali mu cześć przez modlitwy i ofiary. A on żył i mieszkał dalej w starym, strzechą pokrytym domku, na wzgórku ze swemi dziećmi i wnukami, zupełnie tak samo po ludzku i skromnie jak poprzednio, chociaż dusza jego doznawała czci boskiej w kaplicy wiejskiej. Od stu lat przeszło już nie żyje, lecz jego świątynia, jak mówią, stoi jeszcze, a ludzie nieustannie modlą się do ducha dobrego, starego wieśniaka, prosząc o pomoc w chwilach trwogi lub zmartwienia.

. . . .

Tłom. *W. Szukiewicz.*

takąż samą, jeśli nie mniejszą mrzonką, jak „uprzemysłowienie“ Galicyi, dopóki agraryusze galicyjscy nie wcielą tego hasła do swego programu. Wcielenia zaś takiego można oczekiwać tylko w jednym wypadku: gdyby dzisiejszy centralizm austryacki nabrał nagle cech takiego radykalizmu społeczno-demokratycznego, któryby zagrażał poważnie klasowym interesom junkrów galicyjskich. Wówczas też przekonywania i argumenty pp. Studnickich, Głąbińskich i *tutti quanti* stałyby się najzupełniej zbyteczne, gdyż obszarnicy galicyjscy, doskonale dziś wyzyskujący centralizm austryacki dla swych interesów klasowych, rzuciliby go w kąt i ogłosili się za krańcowych zwolenników zupełnej odrębności Galicyi. Jednakże, jak na teraz, nie zanosi się w Austryi na jakiś zwrot radykalny w kierunku chociażby np. oktrojowania demokratycznej reformy wyborczej. Wobec tego żadna ponętna obietnica pp. Głąbińskich i Studnickich konserwatystów nie rozczula, więc też propagatorowie pomysłu „wyodrębnienia“ muszą, chcąc nie chcąc, zwracać się do żywiołów stojących po lewicy społeczeństwa. Ponieważ jednak te żywioły, wypowiadając się za hasłem „wyodrębnienia,“ udowodniłyby, że to „wyodrębnienie“ ma wartość i dla nich, jako dla *lewicy*, posiadającej interesy, sprzeczne z interesami konserwatystów. przeto demokratom narodowym, jedynym obecnie zwolennikom „wyodrębnienia,“ przypadło w udziale bardzo trudne zadanie. Z jednej strony muszą dążyć do tego, aby lewica, przyjąwszy hasło „wyodrębnienia,“ nie wymagała żadnych gwarancyj demokratycznych, mogących „spłoszyć“ konserwatystów, z drugiej zaś, aby ta lewica tak natarczywie domagała się „wyodrębnienia,“ iżby agraryusze w końcu zmiękli i uznali hasło za swoje.

Niestety, pomimo wszystkich koziołków logicznych i politycznych demokratów narodowych, żywioły demokratyczne (mówię o opozycyjnych) nie chcą pójść, ani rusz, na lep tego, co wypisują pp. Studniccy i Głąbińscy w *Słowie Polskiem*. Taka umiarkowana *Nowa Reforma* pisze w odpowiedzi na broszurę prof. Głąbińskiego: „Od r. 1868 i ówczesnego adresu do tronu przyszliśmy do przykrego nad wyraz przekonania, że obecna większość konserwatywna, rządząca faktycznie krajem z tytułu ordynacyi wyborczej do ciał reprezentacyjnych i praktyki wyborczej — niezdolną jest do dalszego sprawowania tych rządów w myśl interesów kraju i narodu. Zanim więc marzyć możemy o jakiemś „wyodrębnieniu Galicyi,“ musielibyśmy wpierw mieć dobitną pewność, że dotychczasowa większość konserwatystów nie będzie w niej wszechwładną panią. A więc dopóki istnieje obecna, w najwyższym stopniu niesprawiedliwa ordynacya wyborcza, sejmowa, wyodrębnienie Galicyi byłoby dla niej katastrofą żywiołową, bo rzuciłoby ją na łup jednej kasty ludzi, która dotąd najgorsze swoim rządom wystawiła świadectwo... Powiemy więc krótko i węzłowato: dopóki ordynacya wyborcza do sejmu nie oprze się na zasadach bezpośredniego i powszechnego prawa głosowania, uważamy sprawę „wyodrębnienia Galicyi“ za nienadającą się do dyskusyi.“

Na takie *dictum acerbum* przedwczorajszym demokratom ze *Słowa Polskiego* nie pozostało nic innego, jak rzucić w dziennik krakowski garść wymyślań od „ciasnoty sekciarskiej,“ „naiwności,“ „wstrętności“ itd. i wyłączyć demokratów krakowskich, stojących po za *Nową Reformą*, ze społeczności narodowej *).

Jeszcze odporniej od demokratów krakowskich względem hasła „wyodrębnienia Galicyi“ zachowuje się obóz robotniczy. Świeżo na zjeździe partyjnym w Przemyślu poseł Daszyński scharakteryzował hasło „wyodrębnienia Galicyi“ jako źródło przyszłych walk strasznych. P. Daszyński wraz ze wszystkimi ludźmi logicznie myślącymi twierdzi, że nie może być mowy o przeprowadzeniu tak głębokich reform politycznych bez zasięgnięcia zdania połowy ludności kraju — mianowicie Rusinów. A że Rusini na wyodrębnienie Galicyi nie przystaną, dopóki to wyodrębnienie będzie im groziło eksterminacyą, o tem nikt chyba nie wątpi.

*) Przy tej sposobności zaznaczę, że los ten spotkał już i *Prawdę* przed paru tygodniami.

Wśród odgłosów tej polemiki bardzo komiczne wrażenie robi ostatnia sesya sejmu lwowskiego. Sejm — ten widomy symbol autonomii—zeszedł do roli jakiejś maszynki, uchwalającej prowizoryum budżetowe w ciągu paru dni. Od lat trzydziestu bez mała „autonomiści“ galicyjscy upominają się — czyli raczej udają, że się upominają, aby rząd austryacki zwołał sejm lwowski na przyzwoitą sesyę. I zawsze, zwłaszcza w ciągu kilkunastu lat ostatnich, rząd zwołuje sejm 29 grudnia i zamyka go na Sylwestra. Jeszcze przed miesiącem padały w pismach konserwatywnych zapewnienia, że sejm zostanie zwołany na dłuższą sesyę w styczniu i lutym. Szerzyły się nawet pogłoski, że prezes Koła na czele swych żądań stawia dłuższą sesyę sejmową jako *conditio, sine qua non*, jeśli Koło ma rząd popierać. Wszystko to jednak było zwykłą blagą, obrachowaną na naiwność polityków demokratycznych, tj. tej ich części, która nic nie zapomniała i niczego się nie nauczyła Mieliśmy znowu dwudniówkę dla załatwienia budżetu. I dziwić się tu potem, że masy ludowe, nieposiadające swoich przedstawicieli w tym sejmie; traktują go z pogardą i drwią z „autonomii,“ oglądając się jedynie na Wiedeń!

Jedynym ciekawym momentem ostatniej sesyi sejmowej, była dyskusya w sprawie rusińskiej. Jeneralnym mówcą ze strony Rusinów był poseł dr. Korol, członek bliskiego dziś konserwatystom polskim stronnictwa staroruskiego. Podniósł on, że od ostatniej sesyi sejmowej stosunki polsko-rusińskie pogorszyły się. Rusini stracili nadzieję, aby w drodze pokojowej wyrównać mogli swoje rachunki z Polakami. Rusini muszą przechodzić do coraz ostrzejszych środków walki, ponieważ najświeższa akcya kolonizacyjna i polonizacyjna ma na celu zniszczenie Rusinów jako narodu. Rusini nie chcą robić obstrukcyi, lecz muszą podnieść głos, by zaprotestować przeciw systemowi, panującemu w Galicyi. Wina za obecne stosunki w kraju spada na szowinistów polskich i panującą partyę szlachecką, która dąży do spolonizowania Galicyi zachodniej i ubezpieczenia stanowiska szlachty. Następnie, przechodząc do omówienia strajków rolnych p. Korol oświadczył, że przyczyną ich były — z jednej strony nędza ekonomiczna ludu, z drugiej system administracyjny, panujący w Galicyi Wschodniej. Mówiąc o nadużyciach wyborczych komitetu centralnego, dr. Korol w ostrych słowach wystąpił przeciwko mieszaniu się starostów i inspektorów szkolnych do akcyi wyborczej na rzecz kandydatów rządowych. Zakończył swą mowę twierdzeniem, że Polacy potępiają hakatyzm pruski, sami zaś odgrywują rolę hakatystów wobec Rusinów.

Odpowiadał mu p. Abrahamowicz, który straszył dzisiejszych przewódców rusińskich tem, że lud radykalizowany ich agitacyą zwróci się do innych ludzi, czego ci przywódcy będą kiedyś żałować. Obydwie mowy żadnego wrażenia nie wywołały ze względu na swój charakter mów obowiązkowych. P. Korol, konserwatysta negujący wraz z całem swem stronnictwem narodowość rusińską, bronił tej urzędowości. P. Abrahamowicz, reakcyonista-obszarnik, przemawiał w obronie interesów ludu. Istna komedya.

Pewne wrażenie wywołało natomiast oświadczenie posła ludowego, p. Stapińskiego, że „wobec zaatakowania przez Rusinów ziemi polskiej, staje w pozycyi obronnej w jednym szeregu z całą większością konserwatywną polską.“ Oświadczenie to dowodzi, że ludowcy, po nadzwyczaj niejasnem zachowywaniu się podczas strajków chłopskich na Rusi, postanowili ostatecznie stanąć ręka w rękę ze szlachtą na gruncie czysto nacyonalistycznym.

Nie wiadomo, co na to odpowiedzą te masy ludowe, które dotychczas jeszcze uznawały p. Stapińskiego za swego wodza. Co do szlachty jednak, to ta chyba nie bardzo wierzy swemu nowemu sojusznikowi, bo zawiera już dziś kontrakty z rusińskimi hucułami i bojkami, godząc ich do przyszłych żniw ku wielkiemu strapieniu demokratów narodowych, którzy przypuszczali, że szlachta — zechce płacić więcej *Mazurom*.

Daleki.

Z dobrego źródła.

(Nadesłane).

Nasza krytyka społeczna ma ciężki kłopot: dotąd bowiem nie wie, gdzie można dostać prawdziwych, niesfałszowanych produktów filozofii syonizmu? Wszelkie próbki, które dotychczas poddawała rozbiorowi, uznane zostały przez jego fabrykantów za podrobione. Chwytano się najrozmaitszych sposobów: zbierano miód tej nauki z najpiękniejszych kwiatów syonistycznych, stenografowano i fonografowano mowy na zjazdach budowniczych przyszłego państwa palestyńskiego — wszystko nie pomagało. Zawsze „wtajemniczeni“ oświadczali, że nie są należycie rozumiani, zawsze złotouści prorocy syonistycznych wieców gromili prasę polską za spotwarzanie ich dążeń, zawsze najbezstronniejsze redakcye po każdym artykule w tej sprawie otrzymują wonne liściki od Ester i Mardocheuszów z tytulacyą: „Nikczemne Hamany.“ Wobec tego straciłem nietylko wszelką nadzieję, ale i ochotę dowiedzenia się, czem jest właściwie syonizm. Nie odzywałem się o nim nawet prywatnie z obawy, ażebym pewnego dnia miesiąca Avar nie był „obwieszony“ jak ów niecny Haman i ażeby kiedyś obywatele ziemi obiecanej nie obchodzili weselnem świętem podczas Purymu wspomnienia swojej słusznej zemsty i mojej zasłużonej kary.

Aliści razu jednego odwiedził mnie mąż, jak słyszałem, biegły w najnowszym testamencie (dr. Hertzla), który w rozmowie o niebieskich migdałach, sam przyczepił do nich z westchnieniem uwagę:

— Jaka to szkoda, że w prasie warszawskiej niema ani jednego pisma dobrze poinformowanego o syonizmie!

— Ależ panie szanowny — wtrąciłem lękliwie — gdzie jest to tajemnicze źródło, z którego można poczerpać takie informacye?

— Mogę panu służyć najdokładniejszem objaśnieniem.

— Będę bardzo wdzięczny.

I rozpoczął wykład nauki, który według mojego mniemania niczem się nie różnił od jej wykładów w prasie, wyklinanych jako fałszywe.

— Dziękuję panu — rzekłem — chociaż jestem przekonany, że gdybym słowa pańskie powtórzył najwierniej, może sam pan uznałbyś je za nieścisłe.

— Niewątpliwie, bo pan nie umiałbyś ich powtórzyć wiernie.

— Dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Język hebrajski nie używa samogłosek, które za-

stępuje znaczkami. My rozumiemy te kreski i czytamy właściwie, podczas gdy wy czytalibyście tak, jak gdyby w wyrazach hebrajskich były tylko spółgłoski. Podobnie rzecz się ma z naszemi myślami: wy nie widzicie w nich samogłosek, chociaż one tam są.

— Czy nie możnaby nas wykształcić?

— Daremna praca. W tym punkcie mózgi wasze są ciemne. Dam panu przykład. Niedawno pewnemu inteligentnemu a pozornie bardzo pojętnemu Polakowi wytłomaczyłem szczegółowo plan syonizmu, polegający na tem, że Żydzi w społeczeństwach, śród których żyją, będą przygotowywali materyały do budowy własnego państwa, ażeby zaś ich energia nie słabła i ostateczny cel dążeń nie zacierał się, powinni ciągle wyosabniać się ze swego obecnego otoczenia i tworzyć w niem świat odrębny. I czy pan wie, co ten pojętny jegomość mi powiedział? „Czyli że wy chcecie pod naszą skórą założyć kolonie świerzbów, które żywić się będą sokami naszego organizmu, a nam nie wolno w tych miejscach nawet się podrapać?“ Oto masz pan wasze „wierne powtarzanie“ naszych myśli.

— Zdaje mi się — bąknąłem zdumiony— że charakterystyka jest dość trafną.

— Niema rady na tę waszą trafność!

— Czy pozwoli pan jednak — prosiłem nieśmiało — zadać sobie pytanie, na które dotąd nikt nie dał jeszcze odpowiedzi?

— Słucham.

— Panowie wyjeżdżając do Palestyny lub na jakieś inne miejsce wiecznego spoczynku, zabierzecie z sobą nietylko majątki, ale także zdobyte w społeczeństwach europejskich idee, zasady, wzory życia, słowem materyał cywilizacyjny. Przypuszczam, że ten materyał będzie głównie wybrany z dorobków żydowskich. Ale mimo to zgarniecie w nich pierwiastki różnorodne, sprzeczne lub wrogie. Otóż chciałbym wiedzieć, jak uorganizujecie swoje przyszłe społeczeństwo: czy według Mojżesza, Majmonidesa, Spinozy, czy też Marxa?

— To jest kwestya podrzędna, która rozwiąże się na nowym gruncie.

— A ja sądziłem, że jest to zagadnienie najważniejsze. Bo przecie masa emigrująca nie będzie jednolitą: obok kapitalistów i obrońców własności znajdą się w niej biedacy, wyznawcy unarodowienia narzędzi produkcyi, którzy już dziś, jeśli mają tęsknić do Syonu, powinniby otrzymać rękojmię, że on da im pożądaną organizacyę społeczną.

— W zadowoleniu z odzyskania niepodległości i ojczyzny stopią się wszystkie sprzeczne interesy.

— Ale gdy ta radość minie...

— Starczy na długo.

— Czy jednak nie byłoby lepiej, bezpieczniej już teraz zdecydować się co do ustroju?

— Tę europejsko - chrześciańską łamigłówkę pozostawimy wam do zabawy i jako pamiątkę naszego udziału w waszych walkach społecznych. A jeżeli my w Palestynie uchwycimy się za brody, nie będziemy was prosili o radę i pomoc. Wie pan, co mówi Salomon? „Wszelkiej majętności kosztować będziemy, napełniwszy domy nasze korzyścią.“ Tak jest, napełniwszy domy nasze korzyścią. Zresztą jak uczy tenże mędrzec: „Lepiej jest mieszkać w ziemi pustej, niż z żoną złą.“ A taką żoną wy jesteście dla nas.

I wyszedł, nucąc: „Jeszcze nie zginęła nasza nadzieja.“

Teraz dopiero widzę, po zaczerpnięciu z „dobrego źródła,“ że syonizmu wcale nie rozumiem.

Go—on.

Ze spraw kobiecych we Francyi.

Wystawa pracy kobiecej. — Mieszkania dla kobiet pracujących. — Restauracye kobiece.

Z początkiem listopada została zamknięta wystawa pracy kobiecej, o której przez ciąg czteromiesięcznego istnienia nie wspomniały prawie wcale dzienniki miejscowe. Inicyatorką jej i duszą była artystka pani Savari, która od pewnego czasu poświęciła się z wielkim zapałem sprawie zakładania zawodowych związków kobiecych: zorganizowała ona syndykat artystek lirycznych i dramatycznych, syndykat malarek i rzeźbiarek, oraz syndykat literatek i dziennikarek, a łącząc te trzy nowonarodzone stowarzyszenia pod nazwą „Federacyi feministycznej, pokusiła się o urządzenie wystawy pracy kobiecej. Było to jednak przedsiewzięcie po nad siły jednej frakcyi feministycznej, skoro inne były wrogo usposobione do organizatorki. Sfery rządowe nieświadome zakulisowych nienawiści, istniejących w obozie feministycznym, udzieliły pani Savari dwóch pięknych pawilonów szklannych, pozostałych po wielkiej wystawie, a nadających się wybornie do zamierzonego celu. Czegóż jednak można się było spodziewać w obec tego, że organ *par excellence* feministyczny „La Fronde“ nie wspomniał ani razu o owej wystawie, a inne pisma kobiece zaledwie półgębkiem o niej mówiły.

Plan był opracowany w nader szerokim zakresie, projektowano aż ośm działów, z których każdy pojedyńczo wzięty byłby wystarczający przy odpowiedniej organizacyi: *a)* kobieta w przeszłości; *b)* kobieta w rodzinie; *c)* praca kobieca w przemyśle, rolnictwie i handlu; *d)* kobieta w sztuce; *e)* kobieta w teatrze; *f)* kobieta w literaturze i nauce; *g)* działalność społeczna kobiet.

Tego rodzaju wystawy poświęcone nie pewnemu działowi pracy ludzkiej w ogóle, lecz specyalnie wyrobom rąk niewieścich, nie mają najmniejszej racyi bytu, gdyż praca wytwórcza kobiet w dziedzinie przemysłu i rolnictwa wiąże się tak ściśle z pracą męzką, że niepodobna przeprowadzić tu granicy. Z tąd też wystawy takie nie dają najmniejszego wyobrażenia ani o zakresie, ani o stopniu uzdolnienia kobiety, nie obejmują nigdy całego pola jej działalności, nie pozwalają nawet wyprowadzić wniosku czy praca kobieca wydoskonali się, czy obejmuje szersze kręgi, gdzie i w jakim stopniu przejawia się jej samodzielność, pomysłowość, twórczość. Najwięcej miejsca zajmują też zwykle t. zw. robótki kobiece, te całe masy drobiazgów, których wykonanie służy jedynie do „zabicia czasu,“ a bez których tak łatwo możnaby się obejść. Wiadomo powszechnie, jaki kłopot sprawiają zwykle te dary „własnej roboty,“ ofiarowywane blizkim, wszystkie te patarafki, torebki, poduszki, serwetki, wykonane niezdarnie, bez żadnego smaku estetycznego, a jednak tak kosztowne, że za te pieniądze możnaby mieć coś prawdziwie pięknego. Robótki te, smutne świadectwo umysłowego ubóstwa pewnej kategoryi kobiet, ich próżniaczego bezcelowego życia, zajmują zwykle miejsce honorowe, gdy tymczasem to, co jest obrazem pracy prawdziwie produkcyjnej, użytecznej ginie w ogólnej masie bezimiennej.

Nie będziem przeto wyliczali owych okazów bezużytecznie zmarnowanego czasu i cierpliwości, a wspomnimy tylko o tem co było ciekawego w innych działach. Nader interesująco przedstawiała się kolekcya typów kobiecych z różnych epok, złożona z tysiąca przeszło rycin przedstawiających przekupki, praczki, kucharki, służące, wieśniaczki, kwiaciarki, modystki, szwaczki, wyrobnice, akuszerki, śpiewaczki itp. Do tego też działu historycznego należał nadesłany z Muzeum psychologicznego dr. Bérillon'a, zbiór amuletów, talizmanów noszonych przez kobiety, narzędzi umartwień cielesnych zadawanych pod wpływem egzaltacyi religijnej, ryciny przedstawiające tortury, jakim podlegały niegdyś kobiety, objawy ich moralnego zwyrodnienia, przesądy lecznicze, zakorzenione wśród kobiet, ich wrażliwość na hypnozę itp. Kobietę w nauce reprezentowała jedynie dr. Bonsignorio, która wystawiła sporą ilość narzędzi własnego pomysłu, mających zastosowanie w okulistyce. Filantropię niewieścią przedstawiało Towarzystwo ochron dla niemowląt, oraz Towarzystwo przytułków dla kobiet brzemiennych. Dowodem działalności społecznej kobiet były tylko stowarzyszenia przeciwalkoholiczne, jako też zgromadzona w witrynach literatura sprawom feminizmu poświęcona.

Wreszcie dział sztuki obfitował w utwory pędzla i dłuta kobiecego. Zbytecznem chyba dodawać, że praca kobieca w przemyśle i rolnictwie była zupełnie pominięta, a więc $3^1/_2$ mil. kobiet, które wespół z mężczyznami wytwarzają zarówno przedmioty powszechnego użytku, jak zbytku i wyrafinowach wymagań życiowych.

Publiczność odwiedzała wystawę, przywabiona głównie koncertami, nadzieją przyjemnego spędzenia dnia.

W ostatnich czasach zajmowano się żywo w Paryżu sprawą mieszkania i pożywienia młodych pracownic. Według obliczeń Jerzego Picot, zawartych w jego referacie, przedstawionym 26 marca 1900 r. na posiedzeniu Akademii nauk moralno-politycznych, w Paryżu znajduje się 100,000 młodych dziewcząt pracujących, pozbawionych opieki rodzicielskiej, a zaledwie 1000 z pośród nich korzystać może ze schronisk, mających na celu zabezpieczenie ich od szkodliwych wpływów wielkiego miasta tak pod względem fizycznym, jak moralnym. Istnieją one głównie przy klasztorach, jeden np. zakon św. Wincentego à Paulo daje przytułek 500 dziewczętom paryskim w rozmaitych dzielnicach.

Dla zaradzenia przeto temu brakowi w ciągu ostatnich kilku miesięcy powstały trzy domy, przeznaczone wyłącznie na mieszkania dla młodych pracownic.

Jeden pad nazwą *Maison des jeunes filles isolées* mieści się przy ul. Lille i jest fundacyą pań z arystokracyi. Instytucya ta istniała już od lat dziesięciu, teraz jednak dopiero została zorganizowaną na większą skalę, daje bowiem schronienie 80-u dziewczętom za opłatą nader nizką 65 fr. miesięcznie, jeśli pokoik jest zupełnie oddzielne, lub 50 fr. jeśli w salach wspólnych, gdzie jednak każda lokatorka ma obok łóżka swój stolik, szafkę i umywalkę, a oddzielona jest od sąsiadki lekkiem, drewnianem przepierzeniem i firanką. Korzystają z tej instytucyi przeważnie pracownice handlowe oraz urzędniczki poczt i telefonów.

Drugi dom powstał staraniem „Société philantropique“ jednego z najstarszych i najbogatszych stowarzyszeń dobroczynnych. Ażeby mieć pojęcie, jak szerokie kręgi obejmuje działalność tego towarzystwa, dość powiedzieć, że utrzymuje ono w Paryżu 30 tanich kuchen, które w roku ubiegłym wydały 3,000,000 porcyj w cenie 5—10 centimów; 30 lecznic, w których ilość roczna porad wynosi przeszło 38,000, nadto w 4-ch lecznicach dziecinnych udzielono porady 17,000 dzieci i rozdano 30,000 sztuk odzieży. Prócz tego towarzystwo utrzymuje szpital o 30-u łóżkach dla wypadków chirurgicznych, przytułek dla kobiet brzemiennych, przytułek dla kobiet wychodząch ze szpitala po połogu, przytułek dla kobiet starych oraz trzy domy noclegowe dla kobiet, te ostatnie wy-

kazują 45,000 rocznie udzielonych noclegów, przyczem wydano 90,000 porcyj zupy i 35,000 sztuk odzieży. Prócz tego towarzystwo posiada 6 kamienic, przeznaczonych wyłącznie na tanie mieszkania dla robotników, w których się mieści 300 rodzin, opłacających komorne od 169 do 377 fr. rocznie. Ogółem rozchody towarzystwa wynoszą około 700,000 fr. rocznie, nie biorąc w rachubę wydatków nadzwyczajnych. Otóż to towarzystwo, tak bardzo zajmujące się losem kobiet, pragnęło również dostarczyć schronienia młodym pracownicom, których tyle corocznie przybywa do Paryża z wiarą, iż w wielkiem mieście łatwiej znaleźć pracę; tymczasem hotel szybko pochłania skromny zasiłek z domu przywieziony, a głód, jak wiadomo, jest strasznym doradcą. Dzięki ofierze baronowej Hirsch i doktora Marjolin wzniesiono w dzielnicy Montmartre pierwszą tego rodzaju kamienicę, która też nosi nazwisko inicyatora i fundatora „Maison Marjolin.“ Urządzenie jej pod każdym względem służyć może za wzór dla tego rodzaju instytucyj. Na parterze mieści się sala jadalna z sąsiadującą obok kuchnią oraz czytelnią, pierwsze i drugie piętro zawiera po 10 pokojów większych, trzecie, czwarte i piąte — po 12 małych pokoików. Wszędzie panuje idealna czystość i ścisłe zachowanie nowoczesnych wymagań hygieny, nie brak nawet wanien i pryszniców. Cena pokojów dużych jest 25 fr. miesięcznie, małych 15 fr. Kuchnia, prowadzona z wielką starannością, dostarcza doskonałego pożywienia w cenie 50 centimów za całkowity obiad. Zbytecznem chyba dodawać, że na wszystkie pokoiki znalazły się zaraz amatorki, są niemi przeważnie nauczycielki, a dalej modystki, szwaczki i panny sklepowe.

Trzeci wreszcie dom mieszkalny dla kobiet powstał staraniem Salutystów w dzielnicy robotniczej Belleville i oddaje największe usługi z przyczyny nizkich cen i łatwości przyjęcia; Salutyści bowiem stawiają ogromnie wysoko i stwierdzają czynem zasadę miłosierdzia względem nieszczęśliwych. Nędza, cierpienie otwiera drzwi ich przytułków; ktokolwiek, kto tu zapuka do godziny 11 w., a miejsce jest jeszcze, może wejść, ogrzać się, dostać ciepłą strawę, czyste łóżko i usłyszeć słowa współczucia dla swej niedoli. Istnieje tu trzy klasy lokatorek stosownie do opłaty, która wynosi za nocleg 35,65 lub 85 cent. Pierwszą klasę stanowią pokoje duże i porządnie umeblowane. Zdrowe pożywienie w cenie 25 c., światło, opał, kąpiel i możność użytkowania z pralni wspólnej dopełniają całości. Salutyści mieli już w Paryżu od lat czterech tego rodzaju hotel dla mężczyzn, prócz tego przytułek dla sierot i schronienie dla kobiet upadłych. Zarówno hotel dla mężczyzn, zawierający 300 łóżek, jak i hotel dla kobiet, mogący pomieścić ich 200, są niemal zawsze zapełnione.

Obok kwestyi mieszkania równie paląca jest kwestya pożywienia dla młodej robotnicy. W r. 1894 wyszło prawo, zabraniające pracownikom płci obojej spożywania śniadania w fabryce lub warsztacie. Było ono wyrazem żądań hygienistów, którzy słusznie powstawali na to, że lokal mieszczący w sobie maszyny, materyały i ludzi nie bywa przez dzień cały przewietrzany. Jakiż jednak był wynik tego prawa: oto robotnice, którym nizki zarobek nie pozwala stołować się choćby w najtańszej garkuchni, a takich jest znaczna większość, zmuszone są bez względu na słotę i wichurę, upał lub mróz spożywać swe nędzne śniadanie na ławce, na ulicy lub skwerze, w otoczeniu rożnego rodzaju indywiduów. Kwestyę tę podniosła w stowarzyszeniu *Société d'éducation sociale* pewna nauczycielka szkoły miejskiej pani Barthélemy i potrafiła tak dalece zainteresować nią i poruszyć innych członków, że natychmiast wyznaczoną komisyę, która zajęła się zbadaniem sposobów zapobieżenia złemu. Na posiedzeniu marcowem tegoż towarzystwa sprawę ponownie przedyskutowano i postanowiono zakładać w rozmaitych dzielnicach tanie kuchnie, oparte na systemie współdzielczym. Ponieważ kapitał zakładowy nie może być dostarczony przez członków przyszłej kooperatywy, jakiemi będą pracownice wszelkich zawodów, przeto uradzono wypuścić najniższe udziały po 25 fr., a skoro się uzbiera 10,000 fr.—suma przypuszczalnie konieczna — otworzyć pierwszą restauracyę kobiecą. W skład komisyi wchodzą osobistości, cieszące się powszechnym szacunkiem: Gide, prof. wydziału prawnego, znany krzewiciel kooperatyzmu, dr. Papillault profesor szkoły antropologicznej, Manoury, bibliotekarz uniwersytetu, Briat członek Najwyższej Rady Pracy itd. Zadaniem inicyatorów jest usunąć się od zarządu i złożyć kierownictwo w ręce samych członkiń kooperatywy, skoro tylko stanie ona na pewnych podstawach.

Cena całkowitego śniadania złożonego z porcyi mięsa, jarzyn, wina i chleba ma wynosić 50 centimów, z których 5 cent., stanowiących zysk czysty, pójdzie na amortyzacyę kapitału włożonego. Projektodawcy zaznaczają, że nie myślą bynajmniej o instytucyi filantropijnej, a jedynie o przyzwyczajeniu robotnic do solidarności i samopomocy, do łączenia się w związki zawodowe i wprowadzenia w życie kooperatyzmu. Z tego więc względu projekt budzi szersze zainteresowanie pomiędzy tymi, którym ulżenie niedoli klas pracujących leży istotnie na sercu.

Restauracye te nosić będą specyalną nazwę *Midinettes*, wyraz określający w gwarze paryskiej robotnice, śpieszące na problematyczne śniadanie, służące raczej do oszukania aniżeli zaspokojenia głodu.

Sprzedaż udziałów posuwa się nader wolno, nabywcami są niemal wyłącznie ludzie pracy; fakt ten doskonale charakteryzuje filantropię burżuazyjną, która nie śpieszy nigdy z pomocą tam, gdzie nie widzi własnego interesu lub zaspokojenia swej próżności. Gdy „Figaro“ w przeciągu tygodnia zebrał przeszło milion fr. na sanatorya dla suchotników, to powstająca pierwsza kooperatywa robotnic paryskich z wielkim wysiłkiem i trudem po sześciomiesięcznych staraniach uzbierała zaledwie 8 tysięcy franków. Inicyatorowie jednak krzątają się bardzo energicznie i niewątpliwie myśl ich lada chwila zostanie urzeczywistniona.

Iza Zielińska.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Tępienie mieszańców.

„Wszelki postęp—powiada Spencer—dąży od jednorodności do różnorodności, a przyczyną tego jest prawo, według którego wszelka zmiana sprowadza zmian kilka.“

Chociaż każdy z nas utawicznie sypie ze swego rękawa definicye, wiadomo ludziom ściśle myślącym, że definicya jest jedną z najtrudniejszych czynności rozumu. Więc i powyższa ma słabe punkty, ale przyznać trzeba, że należy do najlepszych. Rzeczywiście, różniczkowanie jest ważną cechą postępu.

Odbywa się ono obecnie w wielkiej mierze śród stosunków społeczno-politycznych. Dawny podział stronnictw na konserwatystów i liberałów wygląda dziś tak, jak podział religijny na chrześcian i pogan. Bo ileż wytworzyło się odłamów i odcieni po obu stronach! To już nie dwie barwy, ale dwie tęcze. Jest to zupełnie naturalnem, że zachowawczość z samej natury swojej mniej skłonna do zmienności, nie podlega tak szybkiemu i wielostronnemu rozwojowi, jak ruchliwy i żywotniejszy od niej liberalizm. Rozszczepił on się też w końcu zeszłego wieku na mnóstwo odnóg, rozrodził się w wielu odmianach, patrzących nań nieraz ze wzgardą, jak kurczęta na skorupy jajek, z których się wylęgły. Widzimy liberałów mieszczańskich, demokratów, demokratów ludowych, demokratów narodowych, demokratów międzynarodowych, demokratów społecznych itd. Różnice między nimi tkwią niekiedy w wyraźnych przeciwieństwach, ale czasem także w nieuchwytnych subtelnościach, zrozumiałych i przestrzeganych tylko w obrębie członków gminy. Czy to jest bezmyślne drobienie coraz mniejszych klusek z jednego ciasta, fanatyczne sekciarstwo, szkodliwa indywidualizacya, dogadzająca próżnościom i upodobaniom jednostkowym, czy też jest to proces konieczny a zarazem pożądany?

W tych wszystkich zróżniczkowaniach dostrzegamy jeden wspólny objaw, mianowicie ciągłe rozkładanie się mieszanin na pierwiastki i stałe dążenie myśli ludzkiej od środka ku krańcom. Objaw ten występuje naturalnie ze szczególną wyrazistością tam, gdzie źródła życia publicznego biją z największą energią i niepohamowaniem. Tak np. kto zna i pamięta historyę stronnictw politycznych w Niemczech, widzi przekonywające dowody tego faktu. Jeszcze do niedawna konserwatyzm i liberalizm przedstawiał tam dwie zwarte i dość jednolite masy. W ostatnich latach z pierwszego mniej, a z drugiego więcej zaczęły się oddzielać i posuwać w przeciwległych kierunkach żywioły skrajne, a pozostała między nimi mieszanina coraz bardziej szczuplała. Partye środkowe — narodowo-liberalna i postępowa — niegdyś liczne i wpływowe, przy każdych nowych wyborach traciły swych członków, tak że obecnie są małemi garstkami, skazanemi na zupełne zniknięcie, z któremi nikt się nie liczy i które są przedmiotem szyderstwa, wypłacanego akuratnie i hojnie wszelkim przeżytkom. Groźny wódz postępowców, Richter, który był orłem parlamentu niemieckiego, jest dziś kogutem, z którego drwią Beble i Singery.

Podobnie gdyby we Francyi zmartwychwstał „radykalny“ Gambetta, Jaurès odpędziłby go ku prawicy, a co najmniej powiedziałby mu: *hic salta, hic Rhodus.* „Umiarkowane republikanizmy,“ rozmaite „środki“ leżą dziś jak ziarna zboża między dwoma kamieniami młyńskimi, które je ścierają i zmielą.

Jak dalece ten proces rozkładowy w starych stronnictwach opasał szerokie kręgi i ogarnął nimi nawet te społeczeństwa, które dotychczas leżały po za granicami postępu, świadczy Hiszpania i Holandya. W pierwszej do ostatnich niemal dni istniały dwie partye: konserwatystów i liberałów, które kolejno ujmowały ster rządów. Świeżo zmarły Sagasta, który był przywódcą drugiej, przez kilkadziesiąt lat ucieleśniał w sobie ideał hiszpańskiej wolnomyślności z taką wiarą i ufnością, że jeszcze przed kilku miesiącami wyrzucił ze swego zastępu Canalejasa, jako zbyt radykalnego. I oto nagle ten wypędzony „warchoł“ dał hasło do rozbratu, zgromadził koło siebie liczne grono posłów demokratycznych, przeciągnął na swą stronę 50 dzienników, a przy wyborach ma postawić 90 własnych kandydatów. Z gasnących oczu umierającego wodza przyjaciele zdarli bielmo zaślepienia, oświadczywszy mu szczerze, że nie rozumie swego czasu, że jego program stał się anachronizmem, że

trzeba z nowym ruchem posunąć się bardziej na lewo. Zanim Sagasta skonał, widział trupa swego ideału politycznego.

W przeszłym miesiącu liberalizm holenderski osłupiał: zarówno w parlamencie, jak w radach gminnych panował wszechwładnie, a chociaż za każdym razem tracił część głosów w wyborach, nie przypuszczał, ażeby mu groziła porażka. Tymczasem do obu tych ciał weszli demokraci. Wyłom w twierdzy zrobiony i niewątpliwie będzie się rozszerzał coraz bardziej.

Też same prawa rządzą biegiem małych strumieni, co i wielkich rzek. Przeto tam również, gdzie nie istnieją uprawnione i czynne partye polityczne, lecz tylko ich nikłe i nierozwinięte embryony, w tych zalążkach odbijają się rysy i przemiany ciał dojrzałych. Wszędzie, w społeczeństwach ogromnych i maleńkich, śród kultury wysokiej i nizkiej, w warunkach swobody rozległej i ścieśnionej, odzwierciedla się jednakie oblicze czasu, objawia się jednaka jego dążność. Wszędzie mieszańcy ideowi giną w walce o byt, w której zwyciężają typy czyste.

Zwykle przypatrujemy się tym zapasom zdaleka, ale nieraz zblizka. Wtedy, mając przed oczami ograniczone pole i niewyraźny przebieg starć, nie rozumiemy dokładnie ich przyczyn, istoty i celu. Myśl nasza, a z nią uczucia przyczepiają się często do haseł bez jutra, nadzieje nasze i życzenia biegną za sztandarami, do których przyległo dużo kłamstwa lub błota. Umysły skądinąd światłe, ale niewprawne w rozeznawaniu prądów społecznych, czerpiące o nich wiedzę raczej z pogłosek, niż badań, obnoszą w swych sercach najgorętszą czcią otoczony jakiś stary, pusty lub obłudą napełniony wyraz, niby święty talizman, który kiedyś był rzeczywiście zbawiennem słowem życia, a dziś stał się znaczkiem kuglarskim. Gdy się obejrzymy w dalszą przeszłość, zobaczymy na przebytej drodze rozwoju te fetysze językowe, leżące w zupełnem zapomnieniu i poniewierce; dziwimy się nawet, że one kiedykolwiek mogły posiadać urok i władzę; ale z tymi, które sami sobie wytworzyliśmy, rozstać nam się trudno. Nieraz też człowiek już się przerodził w swych myślach, a jeszcze powtarza dawne słowa, które w taktyce szalbierstwa grają rolę oręży i piorunów. Co? — krzyczy on. — Mamy się wyrzec tarcz, rusznic i pancerzów, które w najcięższych bojach służyły ojcom naszym i pomagały im do zwycięztw? Że te tarcze, rusznice i pancerze nie mogą się ostać przeciw nowej broni—to ich nie przekonywa, a nawet nie obchodzi. Aby gardło mocno wyśpiewywało popularne melodye — to rzecz główna. Zanim skutki walki wystąpią, hetmani znikną z pola bitwy, a z ich grobów w historyi nie będą wystawać nawet uszy, za które możnaby ich wyciągnąć i przed sądem potomności postawić. Więc niczego nie ryzykują.

Nie starałem się nigdy narzucać czytelnikom jakichkolwiek przekonań. Jest to tryumf mały a korzyść jeszcze mniejsza. Ale zawsze starałem się pobudzać ich do samodzielnego myślenia i krytycyzmu. I w tym również wypadku pragnąłbym nakłonić ich do rozróżniania haseł chłopców wskakujących do tramwaju z krzykiem: „straszna zbrodnia!“, od haseł badaczów życia, wskazujących jego kierunki. Niech wrzask będzie godłem i przekonywającą siłą gawiedzi. Ludzie rozumni nie powinni od kukawki dowiadywać się, kiedy nastaje wiosna. Po naszem morzu pływają statki z żaglami świadomemi swej drogi i zapatrzonemi w ścisłe busole; ale pływają także korsarze na barkach z żaglami wydętymi popularnym wiatrem; pływają dzieciaki na wywrotnych czółnach, pływają wreszcie majtkowie na deskach z rozbitych okrętów, którzy krzyk własnej trwogi przed zatonięciem rzucają jako sygnał ostrzegawczy stojącym na lądzie. Opóźnieni w rozwoju umysłowym i społecznym, mamy więcej, niż inne ludy, mieszańców, wilkołaków, karłów minotaurowych z głowami wołów i korpusami ludzi. W tych dziwolągach znajdziesz szlacheckość z demokracyą, kapitalizm z socyalizmem, antysemityzm z tolerancyą, fanatyzm z wolnomyślnością, kult męczeństwa z donosicielstwem, maleńkie reguły z wielkimi wyjątkami, logikę wygiętą w tyle zygzaków, ile nadarzy się potrzeb osobistych. Ludzie ci uderzają swymi języczkami w największe dzwony dobra i bezpieczeństwa publicznego, puste frazesy przywiązują jak pęcherze kotom do ogonów i puszczają je na dachy, ażeby robiły wielki hałas, chodzą zawsze obwieszeni brzękadełkami wyrazowemi na pstrokatych strojach ze skrawków najrozmaitszego koloru i tkaniny. Kto wobec tej arlekinady chce pozostać zachwyconym gapiem, niech skorzysta z prawa tej niezaprzeczonej nigdy i nikomu swobody; ale kto ma dumę i wolę być człowiekiem rozumnym, niech się nie zaprzęga do tryumfalnego rydwanu ani cyrkowych, ani karnawałowych błaznów. Przedewszystkiem niech nie poznaje życia w obrazach czarnoksięskiej latarni ulicznych magików, lecz bada je sam, głęboko i wszechstronnie, w rzeczywistości, bez pomocy zabarwionych szkieł, bez fałszywych miar i wag z targu samolubnych interesów i ze sklepików niesumiennego kramarstwa.

Skazówka naszego ideowego barometru, pod wpływem zmienionego ciśnienia atmosfery w całym świecie, posuwa się również na lewo. Stąd wrzask istot, okrywających swoje wilkołactwo gęstemi mgłami i nieznoszących przejrzystego powietrza, stąd ryki Minotaurów, strzegących labiryntu społecznego, na nić Aryadny. Daremne gniewy: szlachecko-chłopsko-bezwyznaniowo-wyznaniowo-liberalno-konserwatywno-filosemicko-antysemicki labirynt nie może pozostać przybytkiem bóstwa, a nić wybawcza dalej snuć się będzie.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Towarzystwo, moda i prawo.

Płodny pisarz francuski, Raul de la Grasserie, prawnik i socyolog, poruszył niedawno w niewielkiej rozprawce *) ciekawe i mało badane zagadnienie z dziedziny nauk społecznych: kwestyę znaczenia przepisów życia towarzyskiego, „światowego,“ i nakazów mody, oraz stosunku ich do prawa skodyfikowanego. De la Grasserie trafnie zaobserwował wiele szczegółów, lecz — zdaniem naszem — nie wytłomaczył ich należycie, nie dotarł do jądra sprawy, a to głównie wskutek właściwego prawie zawsze Francuzom racyonalizmu, braku metody historycznej, genetycznej. Tymczasem zagadnienie to należy rozważać tylko jako część ogólnej kwestyi stosunku etyki do prawa, ale jako część bardzo interesującą, w której można obserwować różne strony tego stosunku w formie najwydatniejszej.

Autor nasz określa towarzystwo, „świat,“ podług terminologii francuskiej, jako drugie społeczeństwo, istniejące obok społeczeństwa właściwego (które tu, u prawnika, utożsamia się zupełnie z *państwem*) i uzupełniające je niejako. Społeczeństwo, czyli państwo, posiada cały system prawa pisanego, logicznie rozwinięty i uzasadniony i zapewnia mu posłuszeństwo za pomocą swej potęgi materyalnej, grożącej całą skalą kar tym, którzyby je naruszali. A jednak jakże często jednostki wyślizgują się z tej sieci, pozornie jej nawet nie przerywając! Jakże drobną część czynów ludzkich i różnych położeń życiowych w gruncie rzeczy prawo pisane przewidzieć i unormować jest w stanie! Gdy próbuje przeniknąć głębiej do pewnych stosunków życia ludzkiego, jakże wtedy natychmiast jego ucisk staje się widocznym, dotkliwym i nieznośnym! Gdy jakiś jego przepis zostaje naruszony, to poszkodowany odwołać się musi do osobnych, wyłącznie w tym kierunku uprawnionych organów społeczeństwa, których czynność jest ciężka, niezgrabna, powolna. Tymczasem tuż obok, poniżej tego społeczeństwa, czy ponad niem — trudno określić, może raczej w innej płaszczyźnie, w innym wymiarze — żyje i działa drugie społeczeństwo: nie posiada ono wcale środków przymusu fizycznego do rozporządzenia, ani żadnych specyalnych organów prawodawczych, sądowych lub wykonawczych; a jednak prawa jego, prawa niepisane, bez porównania bardziej drobnostkowe od artykułów kodeksu państwowego, wciskające się despotycznie do wszystkich najprywatniejszych stosunków życia, wymagające od ludzi więcej, bo nietylko nieszkodzenia innym, nietylko spełniania powziętych wyraźnie i dobrowolnie zobowiązań, ale i pewnego stopnia stałej, pozytywnej życzliwości względem pewnego przynajmniej koła osób równouprawnionych — prawa te cieszą się posłuszeństwem znacznie doskonalszem, niż kodeks państwowy. Jednostka bardzo rzadko buntuje się przeciwko nim, nawet gdy zdaje sobie sprawę z ich uciążliwości; przeważnie spełnia je odruchowo, bo są jej drugą naturą. Jeżeli ktoś je narusza, to „towarzystwo,“ to „społeczeństwo w drugiej potędze,“ nie czeka ze swą reakcyą aż na wdanie się specyalnych organów; nie — tu każdy członek towarzystwa wie odrazu, co ma robić, jest zarazem świadkiem, oskarżycielem, sędzią i wykonawcą; o ile ktoś został poszkodowany, to może odwołać się do każdego równego członka towarzystwa, ale i bez tego każdy będzie pełnił natychmiast wszystkie powyższe czynności. Wymierzane w ten sposób kary, czysto moralnej natury, są bardzo dotkliwe i przeważnie skuteczne: zaczynają się one od śmieszności, nadzwyczaj subtelnie stopniowanej, po niej następują różne także stopnie infamii, ale w niektórych wypadkach towarzystwo wymierza i karę fizyczną — drogą pojedynku mianowicie, a nawet karę śmierci — gdy pośrednio, ale stanowczo zmusza do samobójstwa np. kobietę shańbioną, albo dłużnika niewypłacalnego.

Co do pojedynku, o którym wspominaliśmy przed chwilą, to Grasserie rzuca do pewnego stopnia nowe światło na jego znaczenie, wychodząc z tego stanowiska mianowicie, że opinia towarzyska nietylko zobowiązuje obrażającego do przyjęcia wyzwania i nietylko uprawnia obrażonego do żądania satysfakcyi, lecz nakazuje temu ostatniemu jej żądać — co już stanowczo wykracza po za granice pojęcia pojedynku, jako zadośćuczynienia, jako kary za wykroczenie. Tłomaczy się to tylko tem, że sam fakt otrzymania obelgi jest objawem zmniejszonego szacunku ze strony jednego z członków naszego towarzystwa, a że zwykle tego rodzaju objawy są w towarzystwie wynikiem odruchowego sądu za wykroczenia przeciw jego przepisom, więc zachodzi możliwość samorodnego uogólnienia się tego zmniejszenia szacunku. Aby temu zapobiedz, konieczne jest zrównanie wartości osoby obrażonego z osobą jego sędziego—obrażającego, a to za pomocą pewnego rodzaju gry, w której równemi stawkami są

*) *Du rôle psychologique et sociologique du monde et de la mode*, wydane po francusku w Bolonii, 1902.

życie jednego i drugiego; obrażający nie może się od tej gry usunąć. Oczywiście, że nie idzie tu o usprawiedliwienie pojedynku, z chwilą bowiem, gdy pod wpływem prądów humanitarnych i antymilitarnych pojedynek zaczyna się wydawać bezsensem i barbarzyństwem, muszą zawsze znaleźć się jednocześnie różne inne sposoby zapobiegania uogólnieniu się obniżenia szacunku, tkwiącego w obrazie, czego dowodem zupełne zniknięcie pojedynków w Anglii, kraju o ogromnie rozwiniętej opinii towarzyskiej, ale też najmniej militarnem ze społeczeństw indo-europejskich. Trzeba jednak przyznać, że takie wytłomaczenie siły obowiązującej zwyczaju pojedynkowego jest bardzo trafne dla takiego stanu społecznego, w którym te inne sposoby jeszcze się nie ugruntowały. De la Grasserie zdaje się upatrywać w pojedynku najcharakterystyczniejszy przykład normy towarzysko-prawnej w przeciwstawieniu z jednej strony do niezorganizowanego bezprawia, z drugiej — do prawa właściwego, natury państwowej. Gdy jednostka poszkodowana nie chce uciekać się do samowolnego odwetu, który przez społeczeństwo jest zakazany, wówczas pozostaje jej odwołanie się do władzy państwowej, do sądu; lecz są krzywdy, których kodeks nie przewiduje, są pretensye, o których słuszności jest się przekonanym, a których przed urzędowym sądem udowodnić nie można, są wreszcie wypadki, w których procedura sądowa, zamiast dawać skarżącemu zadośćuczynienie, jeszcze mu większą szkodę przynosi przez rozgłos, nadany jego krzywdom prywatnym i cierpieniom tajonym. Otóż w tych wszystkich wypadkach jedynie procedura towarzyska, względnie sąd opinii publicznej pewnego koła, może zastąpić odwet indywidualny, przywrócić zakłócony spokój. Pojedynek jest dla naszego autora typowym przykładem takiej procedury.

Lecz tu już jego niehistoryczna metoda zaczyna go wprowadzać na manowce. Wytworzył on sobie pochodzenie pojedynku czysto racyonalistycznie, widzi w nim stopień pośredni między „stanem natury“ i bezprawia a prawem kodeksowem i nagina do tego historyę. Więc średniowieczne pojedynki sądowe wyprowadza z prywatnych, „towarzyskich,“ i uważa to nawet za przykład naśladowania prawa towarzyskiego przez państwo, gdy tymczasem w rzeczywistości to raczej pojedynek, przynajmniej w powyższem znaczeniu, jako norma prawno-towarzyska, jako surogat sądu, rozwinął się z dawniejszych pojedynków sądowych. Wymaganie równości towarzyskiej, klasowej, przeciwników jest poprostu jednem z ostatnich ech stanowości sądownictwa, owej zasady, że każdy musi być sądzony przez równych, i że pewien postępek (np. gwałt, najazd) jest wykroczeniem względem równych, a nie jest nim względem niższych. Nawiasem mówiąc, możemy zrozumieć takie poważne i zarazem racyonalistyczne traktowanie pojedynku pod piórem Francuza. Nigdzie pojedynek nie jest tak upowszechniony i uznany, jak we Francyi, w czem, choć brzmi to paradoksalnie, wyraża się także demokratyzacya tego społeczeństwa. Demokratyzacya bowiem Francyi, dzięki wojnom Rewolucyi i jej spadkobiercy, Napoleonowi, odbywała się na drodze militarnej: zniesienie arystokracyi i jej monopolu rang oficerskich, musiało się więc wyrazić w uprzystępnieniu pojedynku wszystkim; cała też opinia publiczna dotychczas go uznaje i broni, skłonna jest uważać za instytucyę prawa towarzyskiego powszechnego i naturalnego niejako.

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

NOTATKI NAUKOWE.

— *Thoughts on education* (Myśli o wychowaniu), Longmans and Co. Londyn. Autor zapatruje się tak zdrowo na sprawę wychowania, tak bezstronnie rozbiera różne teorye pedagogiczne, że z pracą jego wszyscy wychowawcy i wszyscy działacze społeczni zaznajomić się powinni. (*Athaeneum*).

— *Der Hypnotisuus*, von dr. L. Loewenfeld. Handbuch der Lehre von der Hypnose und der Suggestion mit besonderer Berücksichtigung ihres Bedeutung für Medizin und Rechtspflegung (Bergmann). Autor zajmuje się szczegółowo temi kwestyami, których inni, piszący o hypnotyzmie, dotykają zaledwie powierzchownie, mianowicie: hypnozą patologiczną, poddawaniem masowem i niezwykłymi objawami lunatyzmu, nawet jasnowidzeniem i telepatyą, których stanowczo nie odrzuca na podstawie przypuszczenia, że to mogą być siły równie nam nieznane, jak do niedawna były promienie Roentgena. (*Frankf. Zeit.*).

— *The Strength of the People* (Siła narodu), przez Mrs. Bosanquet. Macmilland and Co. Autorka jest znaną badaczką spraw społecznych. Siłą narodu, według niej, jest jego charakter, który tworzy się i podlega zmianom pod wpływem warunków ekonomicznych; wszystkie zagadnienia społeczne przechodzą ostatecznie w zagadnienia etyczne. Szczególnie oryginalnem jest jej zapatrywanie na zadanie przemysłu. Nie należy, jak utrzymuje, przypisywać tak wielkiej wagi wpływom otoczenia, a przedewszystkiem trzeba dać jak najszersze pole rozwojowi indywidualnemu. Albowiem siłę charakteru stanowi jego niezależność; a niezależność ekonomiczna rodziny, ku której zachowaniu, jako jednostki społecznej, zmierzać powinny wszystkie usiłowania, ma być głównem staraniem reformatorów społecznych.

(*Athaeneum*).

LITERATURA I SZTUKA.

Björnstjerne Björnson.

Cała prasa skandynawska rozbrzmiewała w ostatnich tygodniach roku ubiegłego hołdami, składanymi poecie a zarazem wielkiemu działaczowi w siedmdziesiętą rocznicę jego urodzin.

Spokojne, chłodne na ogół duszę Skandynawów rozgrzały się pod wrażeniem rozpamiętywania życia i działalności tego „bijącego serca Norwegii,“ jak nazwał Björnsona rodak jego, znakomity muzyk, Edward Grieg. Nawet wrogie mu stronnictwa i osobistości, których niemała liczba zebrała się przez ciąg tak długiego życia wojowniczego, w walce bezwzględnego polityka, zapomniały uraz, śląc słowa czci i uwielbienia.

Rozgłośne objawy uznania odbiły się różnem echem po reszcie krajów europejskich: najsilniejszem u ludów germańskich, ledwie dosłyszalnem u narodów szczepu romańskiego. I nie dziw. Björnstjerne Björnson tkwi tak głęboko w ziemi, która go wydała, tak przepojony jest jej sokami, tak jest na wskroś Norwegiem i tylko Norwegiem, że twórczość jego odczuć i zrozumieć należycie potrafią tylko rodacy a po nich narody pobratymcze. W duchowej zaś istocie tego poety niema ani jednego pierwiastka, któryby jej poznanie i ocenę uprzystępnił szerszym warstwom ludów romańskich.

W jednej ze swych nowel wyraził się poeta o geniuszu, że jest mieszaniną dobroduszności z żywiołowością. Słowa te charakteryzują doskonale samego Björnsona. Posiada on dziecięcą niemal prostotę i naiwność, a przy znajomości form towarzyskich pewną krzykliwość i niesforność. Nadzwyczajna żywość usposobienia i niestygnący z wiekiem zapał naraża go niekiedy na... prawdziwie donkiszotowską walkę z wiatrakami.

Urodził się on w Kvikne, wsi leżącej w dolinie, zamkniętej ponuremi, mgłą wieczne zasnutemi górami Dowru, które norweskie podania liczniej od innych zaludniły złośliwymi gnomami i krasnoludkami. Ojciec jego był tu proboszczem, a zadanie miał niełatwe; niejednokrotnie siłą musiał poskramiać dzikich górali. Po nim to odziedziczył młody Björnstjerne nieustraszoną odwagę i siłę fizyczną. Chłopięce lata spędził w pięknym Romsdalu, nad rozkosznym fjordem. Tu bujał swobodnie po rozległych łąkach, mając przed oczyma szeroki krajobraz, a śpiew i śmiech jego miał się gdzie rozchodzić: „las odpowiadał mu echem a ryby, płynąc ku słońcu, zatrzymywały się w miejscu, słuchając go z lubością — wszystko naokół znało śmiech jego“ tak opisuje w jednej z nowel bohatera.

Z tego stałego pobytu w pięknej, zdrowej okolicy wyniósł Björnson niewyczerpany zapas zdrowia fizycznego, który pozwala mu jeszcze obecnie oddawać się pracy, jak gdyby znajdował się w pełni sił. Niezamąconą żadnem wielkiem nieszczęściem pogodę umysłu zachował dotąd. Rdza pesymizmu nietylko nie przeżarła mu duszy, ale jej nawet nie trąciła, bo jak w dzieciństwie i młodości uśmiechało mu się życie, tak i później ułożyło się wyjątkowo szczęśliwie. Stąd pochodzi może ta nietknięta powątpiewaniem wiara w dobro i w jego zwycięztwo nad złem, którego poeta na ogół nie lubi, a nawet nie umie przedstawiać w swych utworach.

Drobne niepowodzenia wywoływały tylko w Björnsonie większy zapał i energię do pracy, a porażki na niwie politycznej zachęcały go do coraz ostrzejszych wystąpień w prasie, do silniejszych ataków w przemowach publicznych. Dar słowa posiada niezrównany. Wymowa jego przywodzi na myśl górskie strumyki, tak liczne w Norwegii, których woda jak kryształ czysta z łoskotem spada z wyżyn, pieni się, grzmi i huczy; z taką samą siłą i pędem padają słowa z ust Björnsona, a wypływają ze źródła także jak kryształ czystego, bo z ogromnej, bezmiernej miłości dla ziemi rodzinnej. Wrażenie podnosi głos dźwięczny, donośny i okazała postawa, o której Knut Hamsun śpiewa w wierszu na cześć poety napisanym:

> Na wszystkoś czas znalazł, co ochronić, co żywić;
> wszystkoś wziął na się, twe barki szerokie do brzemion stworzone.

W pietnastym roku życia wyjechał Björnson do Chrystyanii, gdzie uczęszczał do prywatnego gimnazyum „fabryki“ jak je nazywa Garborg. Właściciel, Heltberg, wyjątkowy pedagog, zwłaszcza dla wychowanków, odznaczających się wybitną indywidualnością, której szkoła publiczna nie może uwzględniać, jeżeli niezawsze mógł związać koniec z końcem, to przynajmniej miał prawo się poszczycić, że z zakładu jego wyszło czterech najlepszych synów Norwegii, pierwszorzędnych poetów jak: Ibsen, Björnson, Lie i Vinje. Wszyscy zaś, prócz Ibsena, który trzymał się zawsze na uboczu, schodzili się wieczorami u Björnsona, mieszkającego u wuja swego, Nordraaka.

Wrzało tu od namiętnych dyskusyj literackich i politycznych. Światoborcze plany sypały się jak z rogu obfitości. Przekształcało się Europę całą, ba! świat cały. A jakie poczestne w nim miejsce przypadało Norwegii, przyszłej, świetnej Norwegii!

Hasłem Björnsona było już wówczas wywalczenie jej stanowiska równorzędnego ze Szwecyą. Tej idei pozostał wierny i pozostanie do ostatniego tchu zapewne. Tem dziwniejsze wydaje nam się wytrwałe sprzeciwianie się poety wprowadzeniu narzecza ludowego do literatury. Pracując nad wyrabianiem samoistnego stanowiska Norwegii pod każdym względem, należał poeta do najzaciętszych wrogów teatru duńskiego i jemu też w znacznej części należy przypisać wyparcie go ostateczne z kraju, a utworzenie teatru narodowego. Nielogiczną więc jest ta oporność jego wobec odrębności językowej, nad którą pracuje Arne Garborg, Hans Kinck i inni młodzi. To też mimo wielkie znaczenie Björnsona w kraju, wyrabianie się języka młodonorweskiego postępuje stale, choć powoli.

Ideę skandynawizmu rozszerzył poeta o tatniemi laty w hasło pangermanizmu, które głosi z właściwym sobie ogniem i zapałem niekiedy zbyt jaskrawym.

Powierzchowni krytycy nazwali go ateuszem i socyalistą — a on nie jest ani jednym, ani drugim. Pierwotnie był nawet bardzo religijny, dopiero bawiąc za granicą począł krytyczniej patrzeć na praktyki pietystów. W dziełach swych od tej chwili występował przeciw dosłownemu trzymaniu się tekstu Pisma św.

Co prawda, Björnson niejednokrotnie wywoływał zgorszenie prawowiernych; w dramacie „Leonard“ np. pani Falk przemawia do biskupa w słowach: „Człowieka należy sądzić nie z tego, w czem zbłądził, lecz z tego, co z siebie zrobić potrafił; nie podług wyznania jego, lecz dążenia ku dobru i prawdzie.“ Kiedy biskup nie wierzy w jej skruchę, której nie dowiodła spowiedzią, bohaterka odpowiada, że ona, jako zadośćuczynienie za grzechy, obrała drogę pracy i obowiązku.

W jednej z nowel „Hors Haenber“ (Ręce matki) przedstawia autor typ księdza, rzeczywiście odbiegający od pojęcia ogólnego o kapłanie. Z ludu pochodzący Karol Mander po latach nauki, spędzonych w mieście, wraca na wieś jako proboszcz, do życia, z którego wyszedł. Własnoręcznie uprawia swój kawałek ziemi, na równi z parafianami, wychodząc z zasady, że każdy człowiek dojrzały powinien pracą rąk własnych zdobyć sobie utrzymanie, a nadmiar dzielić z biedniejszymi od siebie. Dzieciom, mówiono nam — głosi — że Pan Jezus zjawił się w kościele, aby głodnych nakarmić, a nagich przyodziać; ale my wiemy, że z kościoła wychodzą wszyscy, jak przyszli, — jedni wracają do zbytku i rozkoszy, drudzy do nędzy i ciężkiej pracy, tembardziej więc powinni ci, którzy mają obfitość, wspierać tych, którzy cierpią niedostatek. — Kaznodzieją jest ów ksiądz z natury, chociaż nie posiada wymowy łatwej, przywykły do samotności, boryka się z wyrażeniami, które nie umieją oddać myśli, mózg palących, ale gdy je wypowie, tkwi w nich moc i siła, wnikające do dusz słuchaczów. Parafia czci go i kocha, choć nie jest wolny od słabości ludzkich: nie będąc z natury pijakiem, nie potrafi odmówić uprzejmym zaproszeniom i w towarzystwie zdolny jest spić się do utraty zmysłów.

Kto zna stosunki norwezkie, ten się tem tak bardzo nie zgorszy. Całą Norwegię stanowi właściwie jedno wielkie miasto, Chrystyania, kilka małych miast i wsie rozrzucone, zapadłe, niekiedy miesiące całe odcięte od reszty świata. Niejedna parafia stanowi sama w sobie państewko, w którem proboszcz bywa nietylko księdzem, spowiednikiem, ale i doradcą prawnym, sędzią i przyjacielem.

Zapewne, że idee wygłaszane przez owego pastora lub panią Falk nie są w zgodzie z nauką Kościoła, nigdzie jednak Björnson nie zaprzecza istnienia bóstwa; w drugim okresie swojej twórczości jest on racyonalistą. Nie dowodzą też socyalizmu zwroty, włożone w usta owego księdza: „każdy człowiek powinien żyć z własnej pracy; za lat sto będą ludzie patrzyli na próżniaków i w zbytku żyjących, jak my dziś spoglądamy na oszustów i wyzyskiwaczy.“

Björnson jest apostołem pracy, jako najpotężniejszego czynnika umoralnienia; do żadnej partyi jednak nie należał i nie należy.

Jest szczerym, nawet fanatycznym demokratą i zerwał długoletnie stosunki przyjazni z Jonaszem Lie, gdy ten przyjął order od króla szwedzkiego. W jego dramacie „Kongen“ (Król) sytuacyą dramatyczną jest nie to, że król kocha i poślubia osobę pospolitego rodu, lecz że to córka zaciekłego republikanina. W ostatniej znów sztuce „Paa Storhove“ (Na Storhove) król zjawia się w obcym domu, szukając swego byłego ministra, którego chce skłonić dla dobra kraju do powrotu na dawne stanowisko. Ta śmieszna wprost sytuacya wynikła z chęci zciągnięcia panujących z wyżyn w szeregi zwykłych śmiertelników, odarcia ich z nimba, jakim się otaczać zwykło głowy ukoronowane.

Miłość ojczyzny, chęć jej podniesienia w każdym kierunku jest natchnieniem Björnstjerne Björnsona. W tem tkwi siła, ale jednocześnie i słabość poety. Siła polega na oddziaływaniu na szeroki ogół czytelników. Słabością zaś jest zbyt widoczny cel pedagogiczny, usuwający w cień względy artystyczne.

Najmniej razi ta wada w pieśniach, niekiedy rzeczywiście podniosłych, np. w pieśni zaczynającej się od słów „Ja ir elsker“ (Tak, kochamy), która stała się hymnem narodowym nietylko Norwegów, lecz i Finlandczyków, a śpiewają ją też często i Duńczycy podczas uroczystości narodowych. Wieje z tej pieśni czarowne tchnienie młodości, zapału, wiary w przyszłość a nadewszystko miłość do ziemi rodzinnej, do tych gór ponurych, ginących w obłokach, do łąk zielonych, fjordów błękitnych, do morza, po którem suną okręty z fruwającemi, jak barwne motyle, flagami. Czar słowa zlał się w niej harmonijnie z melodyą czysto ludową kompozycyi Ryszarda Nordraaka. Wiersz björnsonowski wprost doprasza się dźwięków, to też pod przeważną część jego poezyj podłożyli muzykę sławni kompozytorowie, jak Nordraak, Grieg, Selmer.

Erotyków między niemi mało, a te, które są, odznaczają się lekkością, nastrojem pogodnym. Smutek głęboki, melancholia obce są Björnsonowi, nierzadko jednak spotykamy u niego rzewność właściwą pieśniom ludu.

Jeżeli w pieśniach stoi Björnstjerne Björnson najwyżej, najwłaściwszem jego polem, najlepiej charakteryzującem zarówno jego samego, jak życie społeczeństwa norwezkiego, jest nowela.

On to wprowadził do literatury Północy t. zw. sielankę chłopską. Pierwsza z nich, „Arne,“ jest opisem dzieciństwa i młodości bohatera tego imienia, który po ojcu odziedziczył ducha zdolnego do wyższych wzlotów. Ojciec, krawiec a zarazem grajek wiejski, Nils, nie umie znaleźć wyrazu na niejasne porywy, które odrywają go od ziemi, a nie mają siły wznieść po nad nią. Nie mogąc zwalczyć tego, co mu duszę opętało, pije na umór, chcąc zalać robaka. A robakiem tym, prócz owego „czegoś“ nieznanego, tkwiącego w nim, jest też i ból miłosny, za który, gdy go nazbyt szarpie, mści się na matce Arnego. Syn jest już a tyle szczęśliwszy od ojca, że umie wyrazić swoje marzenia i zamknąć swój ból w pieśni. Cierpi on męki niewysłowione, patrząc na poniewierkę matki; chciałby uciec w dal, zapomnieć o całej tej nędzy a żyć dla swych marzeń tylko, wierzy bowiem, że w onym świecie, za górami, rozjaśniłyby mu się mroki, nękające go od dzieciństwa — żal mu jednak matki, której jest jedyną pociechą i opieką przed brutalnością ojca. Po śmierci Nilsa nastają lepsze dla obojga czasy, tem bardziej, że ból Arnego poczyna przybierać coraz wyraźniejsze formy budzącej się pierwszej miłości. Serce matki odgaduje tajemnicę; ułatwia ona młodej, nieśmiałej parze wzajemne wyznanie uczuć od dawna żywionych — i opowiadanie kończy się harmonijnie.

Nowelą tą przemówił poeta do serc Norwegów, bo Arne to ich typ narodowy — to mieszkaniec zamkniętej doliny, wybiegający myślą do innych, piękniejszych światów, leżących za temi olbrzymiemi ścianami, zasłaniającemi mu widok; to człowiek, którego wzrok, nie mogąc przebić wału górskiego, zatapia się w sobie, marzy, tworząc swój świat własny. Arne, to Peer-Gynt w mniejszym stylu, bardziej przemawiający do umysłów prostych od Ibsenowskiego, bo zrozumialszy, jaśniejszy.

(D. n.)

Józefa Klemensiewiczowa.

ZE SZTUKI.

Możemy się zawsze spodziewać, że w Salonie Krywulta spotkamy kilka płócien artystów cudzoziemskich. Duże afisze u wejścia i reklamy po pismach zapowiadają takie debiuty, jako coś wyjątkowego, tymczasem częściej są to rzeczy drugo lub trzeciorzędnej wartości, niż prawdziwe dzieła wybitnego talentu.

Nie wina to może p. Krywulta, boć wszyscy na świecie polują na dzieła fenomenalne, tylko że tego rodzaju zwierzyna jest niemal tak trudną do zaskoczenia, jak paproć w chwili kwitnięcia.

Wystawianie prac cudzoziemskich, o ile są rzeczywiście dobre, jest bardzo pożądanem odświeżeniem atmosfery miejscowej i dorzuca odmienny akord do tej śpiewki, którą nuci sztuka warszawska. Bo pomimo wszelkich stronnictw, kierunków, nienawiści i antypatyj między symbolistami a mydlarzami, nastrojowcami a kancelaryjnymi malarzami, zawsze bystrzejsze oko dopatrzy się coś nie coś wspólnego, co zresztą jest słusznym i nieuniknionym objawem wspólnego środowiska.

Niechby więc robiono pracom cudzoziemskim więcej reklamy, niż swojskim, ale za to niechby one były rzeczywiście ciekawsze i jeśli już nie bezwarunkowo znakomite, to przynajmniej lepsze od wielu prac naszych artystów. Nie bylibyśmy zresztą bardzo krzywi i o nadmierne faworyzowanie prac takich, gdyby to czynił sam Salon, który jako przedsiebiorstwo handlowe, nie może istnieć bez reklamy i ma prawo robić ją w sposób, jaki uzna za najkorzystniejszy dla siebie.

Lecz krytykom pism, niby poważnych, można mieć za złe, że się dają reklamie suggestyonować i takim obrazom, jakby czemuś fenomenalnemu, poświęcają całe fejletony kosztem zaznajamiania publiczności ze sztuką własną.

Kosztem?.. Hm!.. Może to jest właśnie z korzyścią dla naszej sztuki?.. Bo jeśli się ktoś bierze na plewy zagraniczne, to może i lepiej dla naszego ziarna, że go po swojemu nie zaczyna rozdziobywać?

I w niem nie brak pośladu, więc czemużby szan. krytyk nie miał się nań wziąć równie dobrze, jak na plewy hiszpańskie lub włoskie?

Zostawmy więc tym panom szumnie zatytułowane, a niewymownie banalne prace w rodzaju „Zerwanych strun“ Haaxmana, pretensyonalnego „Sądu ostatecznego“ José Bonlliure'a, „Piekła Dantejskiego“ Me-

zera, lub zbioru w rodzaju czterdziestu pastelowych krajobrazów Casciara, wykonanych z całą wprawą dobrego automatu na pozór błyskotliwie, a w gruncie rzeczy płytko i zawsze szablonowo.

Niewiele też nas może interesować, a naszej publiczności dać jakieś pojęcie o francuskiej szkole romantycznej i realistycznej kilka takich próbek, jak widzimy w Salonie, mimo że na ramach czytamy potężne nazwiska: Harpignies, Courbet, Corot, Teodor Rousseau, Fromentin, Daubigny itd. tuż obok prac współczesnych malarzy warszawskich.

W tej samej sali spotykamy duży obraz Alfreda Eberlinga „Sen malarza.“ Obraz ten zasługuje na wyróżnienie. Wprawdzie takie sny widzieliśmy już niejednokrotnie, ten jednak artysta potrafił być samodzielnym w przedstawieniu swej myśli i wyraził ją jasno, a po malarsku dobrze. Tło stanowi wnętrze pracowni z wielkim obrazem, wyobrażającym „Tryumf Światła.“ Majaczeje on, przechodząc nieznacznie to w odbicie krwawe okna, po za którem widocznie zachód się czerwieni, to w tłum postaci, wychodzących z obrazu i po drodze zaczepiających uśpionego artystę.

Jakiś czciciel złotego cielca chce go przekupić gotówką, młoda dziewczyna kokietuje, wstrętny kosmaty faun wyraża tę zgraję naśladowców, którzy rzucają się na każdy wybitniejszy twór cudzego ducha, żyjąc jego okruchami i mechanicznie go kopiując. Ten jednak artysta, którego autor chce nam podać za geniusza, jest sobie tylko przystojnym, „wyglansowanym“ brunecikiem, drzemiącym najobojętniej, i nic nie wskazuje, żeby owe postacie były snem, który go powinien był przejmować.

Po za tem sala ta posiada kilka drobnych portretów. Widzimy tu Michała de Lauransa, portret doktorowej A. i„doskonały portret literata, p. Jaroszyńskiego. Na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych p. L. posiada cały szereg portretów, pomówimy więc na innem miejscu o twórczości tego malarza. Dwie głowy kobiece Żmurki posiadają całą mestrię tego artysty. P. Łempickiej obraz pastelowy „Dwie dziewczynki,“ tworzy bardzo dobry portret w formie sceny rodzajowej. Jeśli malujemy artystę z paletą i przy sztalugach, uczonego — nad księgami przy biurku, to bardzo trafnem jest umieszczenie dwóch siostrzyczek w chwili wyglądania przez okno. Czyż to nie jest najmilsze zajęcie naszych dzieci, a nawet i wielu „pracowitych“ osób dorosłych? Portret ten posiada naturalność i wdzięk prosty, cechujący prace tej artystki.

Z dwóch obrazów p. Konstantego Gorskiego portret wiekowej damy jest lepszy od portretu prof. Korzona i wogóle jest zupełnie dobry. Dodajmy jeszcze portret kobiecy Augustynowicza, o dużym wyrazie i subtelności twarzy, oraz portret męzki Ludomira Janowskiego, a okaże się, że w tej niewielkiej części sali, zostawionej artystom polskim, znajduje się sporo prac interesujących.

Stanowczo nie możemy tego powiedzieć o „Pallas Athene“ p. Feliksa Jabłczyńskiego. Dziwną niedbałością i bezmyślnością rysunku odznacza się ta praca artysty, który jednak zdobywał się dotąd na kompozycye oryginalne i subtelne tak w założeniu, jak i wykonaniu. Ten wzgląd właśnie nie pozwala nam pominąć obecnego utworu milczeniem, bo od każdego ma się prawo wymagać według sił jego.

O pana Pieńkowskiego „Porwaniu“ nimfy nagiej, bez kości, przez czekoladowego centaura nic się nie da powiedzieć, bo jeśli są dziwactwa, które można brać na seryo, to są również i takie, których nieudolności w żaden sposób tak traktować niepodobna. Pierwsze bywają przynajmniej szczere, a drugie są zwyczajnem sileniem się na oryginalność i naiwność, których autor nie czuje.

Rzeźba ma, zdaje się, jednego tylko przedstawiciela w osobie p. Jeziorańskiego. Kilka biustów w terrakocie zasługuje na wyróżnienie, szczególniej portret artysty malarza, p. Gawińskiego, i główki dwóch chłopczyków p. t. „Janek i Jurek.“ Dzban dekoracyjny tegoż autora, a szczególniej patera z główką kobiecą posiadają dużo charakteru i wdzięku w układzie.

O wystawie „Jednobarwnej,“ urządzonej w oddzielnych salach lokalu p. Krywulta, które wiele zyskały przez zaprowadzenie oświetlenia górnego, pomówimy w oddzielnym artykule. Wystawę tę, drugą już z kolei, urządziło warszawskie Towarzystwo artystyczne, znane lepiej publiczności pod popularną nazwą „Klubu artystycznego.“

Sierp.

O prawdę.

—⟡—

W nr. 51 *Prawdy*, w korespondencyi z Nowego-Yorku, spotkałem się z dowodzeniami, które czytelnika mogą łatwo doprowadzić do fałszywych wniosków, przeto w interesie ogółu muszę dać krótkie wyjaśnienie, oparte na osobistem doświadczeniu.

Przyznaję, że stosunki wśród emigracyi polskiej w Ameryce Północnej są opłakane, ale nie mogę zgodzić się na proponowane przez autorkę korespondencyi środki zaradcze, które emigracyi naszej nie pomogłyby, a nam szkodę tylko przyniosły.

Godnem zapewne zazdrości jest położenie wychodźców innych narodowości europejskich, nie wyłączając Czechów, którzy są dobrze zorganizowani, zajmują w tamtejszem społeczeństwie poczesne stanowiska, a nawet wywierają wpływ na politykę tak stanową, jak federalną. Autorka przypuszcza, że coroczne wysyłanie kilkunastu inteligentnych ludzi wywołałoby tak korzystną zmianę w położeniu naszego wychodźstwa, że napewno ujrzelibyśmy zupełnie co innego, niż dziś widzimy.

Mojem zdaniem, autorka jest w błędzie. Po pierwsze bowiem nie posiadamy nadprodukcyi inteligencyi, którą autorka korespondencyi przyjmuje za punkt wyjścia dla swej rady. Przeciwnie, możnaby dowieść braku jej na każdem polu pracy społecznej i narodowej. Ale gdyby nawet było inaczej, gdybyśmy mogli bez szkody dla siebie pozbyć się rokrocznie pewnej ilości ludzi inteligentnych, to jeszcze nie osiągnęlibyśmy tym sposobem poprawy stosunków za oceanem. A dlaczego? Oto dla tej prostej przyczyny, że wszystkie inne narody europejskie, nie wyłączając Czechów, wysyłają za morze ludzi, umiejących co najmniej czytać i pisać w swym własnym języku, posiadających jakiś określony a pożyteczny fach, ludzi, którzy już w kraju macierzystym byli przyzwyczajeni do jakiejś organizacyi, więc jej doniosłość i znaczenie rozumieją; ludzi wreszcie w znacznym stopniu kulturalnych, przywożących ze sobą pewne tradycye, pewne sympatye lub antypatye, społecznie i narodowo uświadomionych, posiadających więc wiele rzeczy, które zasługują na ochronę i zachowanie w nowej ojczyznie. Słowem, emigracya innych narodów europejskich w Stanach Zjednoczonych to armia, potrzebująca tylko wodzów do swego istnienia i wspólnego działania.

Tymczasem wychodźstwo polskie składa się niemal wyłącznie z ludzi w całem tego słowa znaczeniu niekulturalnych, którzy oprócz siły roboczej przywożą ze sobą jedynie umiejętność pacierza i robienia gorszących burd po karczmach, noszących miano salonów. Emigracya polska w Stanach to niesforna, niezgodna, kłótliwa, nieokrzesana, ciemna masa, która nic nie wyniosła ze starego kraju i nie ma co ochraniać w nowej ojczyznie; a tej kultura materyalna i społeczna, imponuje naszym Maćkom i Wojtkom, olśniewa ich, gdy wysokie zarobki i zupełna swoboda polityczna przewracają im w głowie, wydobywając na jaw najgorsze instynkty. Niewyrobieni w kraju, nie są przygotowani do nowych warunków, wolność, jakiej mogą używać, wyradza się u nich w niekarność i swawolę.

Z masą, która się składa prawie wyłącznie z wyżej scharakteryzowanych żywiołów, kilku lub kilkunastu ludzi inteligentnych dobrej woli nic nie wskóra; masa ta bowiem nie jest zdolna wznieść się do zrozumienia swego własnego interesu. Płytkość i gonitwa za pozorami jest źródłem tego smutnego objawu. Mógłbym to udowodnić wielu przykładami, ale ograniczę się na jednym: W kilka miesięcy po moim przyjeździe do Nowego-Yorku wypadł tak zwany sejm „Związku narodowego polskiego,“ który po odrzuceniu szumnych tytułów i haseł nie jest niczem innem, jak towarzystwem ubezpieczeń. Gdyby ono nawet posiadało racyonalną i rozumną organizacyę, trudno by mu było współzawodniczyć z niesłychanie bogatemi kompaniami amerykańskiemi. Na nieszczęście instytucya ta opiera się na zupełnie fałszywych podstawach i nie ma przed sobą żadnych widoków istnienia. Mimo to, zdawałoby się, że jej członkowie właśnie ze względów narodowych, o których tak wiele mówią, powinniby wszelkiemi siłami dążyć do reorganizacyi i oparcia instytucyi na racyonalnych zasadach. Otóż na tem zebraniu wystąpił z takim projektem młody adwokat, którego nazwiska obecnie już nie pomnę. Urodzony i wychowany na ziemi amerykańskiej, a jednak nie zamerykanizowany, jak całe pierwsze pokolenie w Ameryce zrodzone, i pragnąc szczerze naprawy statutu umiłowanej przez siebie instytucyi, z ustawą w ręku wykazywał jasno, jak na dłoni, że należy koniecznie uchwalić zmianę w organizacyi. Z wyjątkiem kilku ludzi światlejszych, nikt na sali nie rozumiał, o co chodzi, nikt nie zabrał w tej sprawie głosu, chyba z niechęcią i dla oświadczenia, że wszelkie poprawki są zbyteczne, a zresztą szkoda się nad niemi zastanawiać dla braku czasu, który potrzebny jest na to, by rozważyć jakąś tam drobną zmianę w mundurze czy sztandarze. Dopiero gdy ten temat wzięto pod obrady, wszystkim się usta otworzyły, bo wszyscy mieli coś do powiedzenia o tak doniosłej i ważnej dla „Związku“ sprawie. Mniejsza o to, że „Związek“ musi upaść, byle upadając miał odpowiedni sztandar i należyte umundurowanie! Tak to emigracya, a raczej jej kwiat na sejmie zebrany, zachowała się względem człowieka, tak zwanego swego, do którego wszyscy powinni byli mieć zaufanie; obcego przybysza, choćby najbardziej rozumnego, nie byliby nawet dopuścili do głosu. Taki los czeka każdego inteligentnego emigranta, bo nieufność naszego ludu idzie z nim razem za morze i tam jeszcze bujniej się rozwija.

Że tak jest istotnie, przekonałem się w ciągu całorocznych nadaremnych usiłowań w celu uczynienia czegoś dla braci moich za oceanem, aż zniechęcony odsunąłem się zupełnie od Polaków, ograniczając wyłącznie do stosunków z yankesami, wśród których znalazłem życzliwość, uprzejmość, pomoc w pracy, kulturę, i dzięki temu wywiozłem z Ameryki wiele milych i niezatartych wspomnień. Że to nietylko moje osobiste doświadczenie, może się każdy przekonać z broszury p. Barszczewskiego, wydanej nakładem M. Arcta w seryi „Książek dla wszystkich,“ która bardzo wiernie i prawdziwie przedstawia stosunki naszego wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych. Ja byłem tylko trzy lata i pół w Nowym-Yorku, a p. Barszczewski aż ośm lat w Chicago, gdzie Polonii jest najwięcej i gdzie jest niby to najlepiej zorganizowana. W dzisiejszych warunkach Polak inteligentny w Stanach na stałe osiadły, pragnący dla naszego wychodźstwa pracować marnuje, czas, siły i kończy zniechęceniem. Inna rzecz wyjazd na czas jakiś dla nauczenia się czegokolwiek i dla poznania stosunków. Należałoby nawet ustanowić stypendya dla inteligentnej młodzieży polskiej,

dające im możność wycieczki do Stanów w ściśle określonym celu. Takie wyprawy przyniosłyby nam napewno ogromne korzyści; ale emigrowanie i osiedlanie się na stałe tylko szkodę przynieść może.

Nie znam stosunków brazylijskich, lecz wnosząc z pewnych danych, przypuszczam, że wychodźstwo do Ameryki Południowej może mieć przed sobą bardzo poważną przyszłość pod względem ekonomicznym i narodowym. Tylko należałoby prąd emigracyjny ująć w świadome i rozumne, a przedewszystkiem uczciwe ręce.

Wojciech Szukiewicz.

NA MARGINESIE.

Najdawniejszy zbiór praw. W Suzie, starożytnej stolicy Persów, ekspedycya francuska zrobiła ciekawe odkrycie, rzucające nowe światło na stosunki kulturalne Babylonu z 3 tysiącolecia przed narodzeniem Chrystusa. Odnaleziono mianowicie kompletny zbiór praw: cywilnego i kryminalnego, z oznaczeniem stosunku i wysokości kar, z których możemy się przekonać, na jakiej wyżynie stało wówczas to państwo pod względem gospodarstwa wewnętrznego.

Nowoodkryta księga praw pochodzi z czasów króla Hammurabi, który północne i południowe ziemie połączył w jedno wielkie państwo ze stolicą w Babilonie (2200 r.). Podczas wojny i najścia Elamitów został zbiór ten zrabowany i uwieziony do Suzy. Z tabliczek, które się przechowały, widzimy, że już w tych odległych czasach uciekano się w niektórych razach do „sądu bożego“ i z podziwem przekonać się możemy, jaką opieką usiłowano otoczyć słabszego. *Jus talionis* ukazuje nam się tu w swej pierwotnej postaci: „Jeśli kto komu oko wyjmie, to należy temu także oko wyjąć.“ „Jeśli budowniczy wystawi dom, który się zawali i właściciela zabije, to należy tego budowniczego zabić. Jeżeli zabije syna właściciela, to trzeba zabić syna budowniczego.“

Bardzo ciekawe paragrafy zawiera prawo o małżeństwie:

„Jeśli kto weźmie sobie żonę, a nie żyje z nią, to ta kobieta nie jest żoną.“

„Jeśli żonę własny jej mąż spotwarza, a wiarołomstwa z innym dowieść jej nie może, to ona winna złożyć przysięgę i do swego domu powrócić.“

„Jeśli kto uprowadzony zostanie jako jeniec wojenny i z domu swego nie pobiera utrzymanie, a żona jego domu tego nie pilnuje i do innego pójdzie, to należy oddać ją pod sąd i do wody wrzucić. Ale jeśli w domu męża niema dla niej utrzymania i do innego pójdzie, to nie jest winną.“

„Jeśli kto, opuściwszy kraj rodzinny, ucieka, a wskutek tego żona jego idzie do domu innego, to jeśli powróci i żonę odebrać chce, za to, że porzucił kraj rodzinny, żona zbiega za męża przyjąć nie jest obowiązana.“

„Jeśli żona, mieszkając w domu męża, zamierza go opuścić, dopuszcza się marnotrawstwa, dobytek trwoni, męża zaniedbuje; jeśli sądownie zostanie jej to dowiedzione, a mąż udzieli jej zwolnienia, to żona ma prawo odejść, gdzie chce; jeśli jednak mąż jej zwolnić nie chce, a inną żonę sobie weźmie, to pierwsza, jako służebnica, w domu jego pozostać musi.“

„Jeśli żona mężowi zarzuca: „Ty nie żyjesz ze mną!“ to należy jej dowieść tego przez świadków; a jeśli nie znajdą winy po jej stronie, jeżeli mąż ją zaniedbuje, to ona ma prawo zabrać swój podarek (tj. posag, ktory otrzymała od ojca) i wrócić do domu rodziców. Jeżeli zaś nie jest bez winy, a dobytek trwoni, męża zaniedbuje, to tę kobietę należy wrzucić do wody.“

„Jeśli kto ma żonę, a ta jest bezdzietną, on zaś wstąpi z drugą w związek poboczny, to żona poboczna nie jest równa żonie pierwszej.“

„Jeśli żona, która żyje w domu swego męża, otrzymała od niego zobowiązanie na piśmie, że jego wierzyciele nie mają prawa do jej majątku; jeśli jej mąż zaciągnął dług jaki przed ożenieniem, to wierzyciel nie ma prawa poszukiwać zapłaty na własności żony. Gdyby zaś żona porobiła długi przed zamążpójściem, to mąż nie ma obowiązku ich spłacać.“

KRONIKA.

Szlachetne współzawodnictwo. W ubiegłą środę odrodzone Towarzystwo muzyczne wystąpiło z koncertem Leopolda Godowskiego, lecz imię to, choć otoczone aureolą sławy jednego z najznakomitszych pianistów, nie zdołało przyciągnąć tłumów do sal Redutowych i zostawiło w nich wiele miejsc, świecących, jak to mówią, pustkami. Nowy zarząd Towarzystwa muzycznego zawdzięcza to pierwsze niepowodzenie swoje koleżeńskiej życzliwości Filharmonii, która w ostatniej chwili przeniosła z czwartku na środę swój „popularny“ i tani koncert o sensacyjnym tytule. We środę więc Warszawa miała aż dwa koncerty jednocześnie, a we czwartek nie miała żadnego. Ów filharmoniczny „wieczór humoru“ w muzyce“ był w gruncie rzeczy dość nudny, budził nawet wśród części słuchaczów dosadne oznaki niezadowolenia, lecz bądź co bądź odciągnął od tradycyjnego koncertu środowego w salach Redutowych znaczną część publiczności, popsuł „interes“ współzawodnikowi, o co, jak się zdaje, chodziło przedewszystkiem. Rozumiemy współzawodnictwo na wszelkich polach, zdawałoby się jednak, że jeśli w sferach, kierujących Filharmonią, są istotnie ludzie z pewnem poczuciem dobra i obowiązków społecznych, to wprost nie powinni oni pozwolić na uciekanie się w walce konkurencyjnej z pokrewną instytucyą artystyczną do takich iście nalewkowskich sposobów na zniżenie sztuki do roli zwykłego kramiku. *Gaz. Polska* przewiduje jednak nie bez usprawiedliwionego pesymizmu, że nieraz się jeszcze powtórzyć może, iż „z różnych powodów“ będziemy mieli w środę — po dwa koncerty jednocześnie.

Żebracy wieczorni. Podobno jakiś cudzoziemiec, przejeżdżający przez Warszawę, miał powiedzieć, że tylko w Konstantynopolu widział na ulicach tylu żebraków, co w Warszawie. Jeżeli to prawda, to fakt ten rzuca przykre światło na stosunki nasze. Istotnie, chodząc po ulicach miasta, szczególniej wieczorem, spotyka się zawsze w pewnych punktach te same indywidua, które na danem stanowisku stale niepokoją przechodniów prośbą o jałmużnę. Pytanie, dlaczego niema ich nigdy w ciągu dnia? Dlaczego dopiero z nastaniem nocy ta ponura armia wylega na miasto dla uprawiania swego smutnego rzemiosła? Czy to są biedacy, którym nie wolno żebrać i którzy liczą na to, że ich władza po ciemku nie dojrzy? Czy też zręczni wyzyskiwacze, szukający dla swego lekkiego a korzystnego zawodu jak najpomyślniejszych warunków? Miłosierdzie prywatne lub publiczne powinno się tem zająć, aby Warszawa nie miała cech Konstantynopola, znanego z nędzy i nieładu miasta.

Komunikacya w Warszawie. Jednym z warunków kultury nowoczesnej jest szybka, wygodna i tania komunikacya. Warszawa jest pod tym względem szczególnie upośledzona. Po za dorożką niema właściwie żadnego środka ruchu, bo tramwaje tutejsze są istną parodyą tej instytucyi gdzieindziej. Po pierwsze linij tramwajowych mamy za mało, a powtóre wagony są ciasne i tak wolno jadą, że tylko ten, co ma czas do stracenia, może ich używać. Z powodu braku dobrej; szybkiej i taniej komunikacyi każdy chce mieszkać w śródmieściu, skutkiem czego mamy niesłychaną drożyznę mieszkań i szkodliwe dla zdrowia stłoczenie się mieszkańców na niewielkiej stosunkowo przestrzeni. To też jest przyczyną, że nasze przedmieścia nie mogą rozwijać się należycie. Przy lepszej komunikacyi nastąpiłoby może równomierniejsze rozłożenie się ludności, której część osiedliłaby się na krańcach miasta, powodując zaprowadzenie tamże urządzeń kulturalnych; a szybka, wygodna i tania komunikacya jest właśnie jednem z nich, i w interesie miasta trzeba się go jednogłośnie domagać.

Wiadomości społeczne. W Petersburgu otworzony został przytułek noclegowy na 900 osób.

— *Warsz. Dn.* donosi: „D. 12 b. m. naprzedstawieniu w teatrze Rozmaitości, grupa żydów, siedzących na górnych piętrach urządziła hałaśliwą demonstracyę przeciwko sztuce „Złoty cielec,“ wystawionej zresztą nie po raz pierwszy. Nieprzyzwoite zachowanie się Żydów wywołało interwencyę policyi, która odprowadziła 20 osób do biura policyjnego, celem spisania protokółu.“

— W biurach kolei Nadwiślańskich postanowiono ograniczyć liczbę kobiet pracujących; na początek usunięto już znaczną część dyetaryuszek.

— Ministeryum spraw wewnętrznych w Wiedniu zniosło wizę konsulatów austryackich na pasportach poddanych rosyjskich, jadących do Austryi.

— W Berlinie niewyśledzeni psotnicy uszkodzili pomniki wzniesione przez Wilhelma II; wyznaczono 1,000 marek nagrody za wykrycie winowajców.

Z Poznańskiego. W Poznaniu zawiązało się Towarzystwo dziennikarzy i literatów polskich, którego zadaniem będzie obrona praw zawodowych w całej Rzeszy niemieckiej.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zawiadamia, że kończący szkołę handlową, w razie poświęcenia się aptekarstwu, obowiązani są złożyć egzamin z łaciny.

— W d. 9—13 b. m. odbył się pierwszy zjazd nauczycieli matematyki i fizyki.

— Rozpoczęły się zapisy na drugie półrocze do sal rysunkowych przy Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej młodzieży płci obojej, pragnącej korzystać z miejscowych wzorów i modeli. W salach Muzeum wykładany jest rysunek ręczny, ornamentacyjny, techniczny, architektoniczny i maszyn, tudzież modelowanie. Dla kobiet istnieje nadto oddzielna klasa, poświęcona sztuce stosowanej.

Wiadomości naukowe. Redakcya *Gazety Polskiej* ogłosiła konkurs z nagrodą 200 rb., z terminem do d. 1 października r. b. na napisanie książki (objętości 10 arkuszy druku) o „Przemysłowcu polskim,“ jakim był i jakim być powinien. Treść dzieła, które ma krzewić zamiłowanie do pracy i oszczędności, podnieść ducha inicyatywy, wzmocnić energię przedsiebiorczą i wytrwałość, powinna się składać: a) Z życiorysów Polaków, którzy oszczędnością, pracą, przedsiebiorczością bądź zaszczepili w kraju nowe gałęzie przemysłu lub udoskonalili i rozwinęli dawne, utworzyli użyteczne zakłady przemysłowe, małe czy większe, bądź przysporzali nowych wynalazków technicznych; 2) ze wskazówek ogólnych o tych przymiotach umysłowych i moralnych i o metodach postępowania, które w innych społeczeństwach sprzyjały i sprzyjają rozkwitowi przemysłu i handlu.

— Dn. 2—9 kwietnia r. b. odbędzie się w Rzymie międzynarodowy kongres historyczny.

Literatura i prasa. W Krakowie, staraniem artystów teatru miejscowego zawiązane zostało stowarzyszenie p. n. „Czytelnia teatru miejskiego,“ w celu ułatwienia członkom zapoznawania się z ruchem literackim.

— Wydawnictwo petersburskiej gazety *Kuryer* zawieszone zostało na trzy miesiące.

Ze sztuki. W Muzeum Narodowem w Krakowie otworzono wystawę rycin Jeremiasza Falcka, sztycharza polskiego z XVII wieku.

Z muzyki. Z zapisu Józefa Sikorskiego przyznana będzie przez warszawskie Towarzystwo muzyczne zapomoga dwuletnia, po 500 rb. rocznie, młodemu i zdolnemu muzykowi, Polakowi, pragnącemu kształcić się wyżej za granicą w nauce kompozycyi. Kandydaci, ubiegający się o tę zapomogę, winni się zwrócić z podaniem do Towarzystwa muzycznego przed d. 1 kwietnia r. b., załączając metrykę urodzenia, dotychczasowy przebieg życia, świadectwo o przejściu kursów muzyki i nauki kompozycyi, świadectwo o niezamożności, tudzież własne kompozycye poważniejsze, drukowane lub w rękopisach. Zapomoga wypłacana będzie w ratach półrocznych od d. 1 lipca r. b.

Zdrowie publiczne. D. 10 b. m. otworzoną została w Łodzi wystawa hygieniczno-spożywcza, urządzona przez Towarzystwo doraźnej pomocy lekarskiej.

— Od d. 14 b. m. postanowiono znieść wszelkie środki przeciwdżumowe na kolei Wschodnio-Chińskiej.

— W Pradze czeskiej panuje epidemicznie tyfus.

Poczta. Urząd pocztowy zaleca wysyłającym pasporty stare do zamiany na ustanowione obecnie książeczki bezterminowe, ażeby wymianę tę uskuteczniali za pomocą przekazu. Tym sposobem mogliby zatrzymać legitymacyę starą do chwili wręczenia im książeczek przez policyę.

— Główny zarząd poczt i telegrafów ogłosił w *Prawit. Wiest.*, iż otworzono przyjmowanie i wydawanie korespondencyi rekomendowanej na stacyach kolejowych: Rembertów, Miłosna, Kotuń, Chotyłów, Miechów, Przysieka, Sędziszów, Chęciny, Jedlnia, Zagożdżon, Garbatka, Niekłań, Falenica i Wawer.

Sprawy ekonomiczne. W Kielcach rozpoczęło działalność Towarzystwo wzajemnej pomocy rzemieślników, przemysłowców i kupców.

— Zatwierdzone zostały ustawy Towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych w Konstantynowie (powiat Łódzki i w Tomaszowie Rawskim (gub. Piotrkowska).

— Obliczono, że w roku zeszłym na całej kuli ziemskiej spożyto 7 i pół miliona tonn cukru.

— Na skutek starań osób interesowanych z Królestwa Polskiego, ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło pozwalać na otwieranie towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych w granicach osiadłości Żydów tylko na warunkach następujących: 1) że chrześcianie stanowić będą najmniej $^2/_3$ członków rady i zarządu; 2) że prawo Towarzystw przyjmowania na zastaw i nabywanie nieruchomości służy wyłącznie w granicach miast i 3) że przewodniczącymi na zebraniach ogólnych, prezesami rad i zarządów oraz członkami komisyj rewizyjnych mogą być jedynie osoby wyznania chrześciańskiego.

— Senat wyjaśnił, że Żydzi w granicach stałej ich osiadłości nie mają prawa nabywania nieruchomości w miasteczkach, posiadających zarząd gminny.

Koleje i komunikacye. Brześć, Lublin i Radom włączone zostały do bezpośredniej komunikacyi kolejowej z Wiedniem.

— Na kolejach Nadwiślańskich ma być ustanowione 57 posad konduktorów-felczerów do obsługi pociągów osobowych.

— W celu uniknienia nieporozumień przy zastosowywaniu taryfy ulgowej, ustanowionej dla przewozu przesiedleńców, tudzież należącego do nich mienia, ministeryum skarbu wyjaśniło, że pod nazwą „ładunek przesiedleńców“ należy rozumieć mienie ich, złożone z przedmiotów użytku włościańskiego, nasion, narzędzi i przyborów rolniczo-gospodarskich. Przytem do przewozu maszyn rolniczych, poruszanych parą i elektrycznością, taryfa ulgowa może być zastosowana jedynie po okazaniu na stacyi wysyłającej, oprócz ustanowionego świadectwa na przewóz ładunków przesiedleńców według taryfy ulgowej, oddzielnego jeszcze dowodu od wydającego pomienione świadectwo, że maszyny wysyłane rzeczywiście należą do przesiedleńców.

Katastrofy. D. 8 b. m. w Borysławiu, w Galicyi, wybuchł pożar w kopalniach nafty. Spłonęło 30 kilka szybów, 23 domy i 4 magazyny.

— Trzęsienie ziemi w Andiżanie powtarza się wciąż jeszcze, lecz bez groźnych następstw. Obliczają, że w całym powiecie Andiżańskim i Margelańskim skutkiem tej katastrofy około 5,000 osób śmierć poniosło, a z górą 30,000 domów legło w gruzach.

— W Lizbonie popękały zbiorniki wody, która zalała ulice. Runęło kilka domów, przyczem nie obeszło się bez ofiar w ludziach.

Zmarli. Ksawery Tatarkiewicz, adwokat w Warszawie.

— Ksiądz Wacław Nowakowski, kapucyn, polihistor, pisujący pod pseudonimem Wacława z Sulgustowa, w Krakowie.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Января 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.